Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 7 (1847) • 13–19 lutego 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE LISTGOŃCZY

POSZUKIWANY:

LORD PROKURATOR

stróż własnej kariery

MAŁY SZERYF

minister zero tolerancji

FANATYK

MIĘKISZON

kuracjusz nad Dunajem

UCIECZKOWY STRATEG

budapeszteński banita

pielgrzym do Orbána

zbieg polityczny

MORALIZATOR

minister represji

betonowy ideolog

TWARDOGŁOWY

inżynier chaosu prawnego

pogromca kast

WOJOWNIK Z TWITTERA

INKWIZYTOR

uciekinier

pajac polityczny

FUJARA

samozesłaniec

STRAŻNIK PARAGRAFU

turysta azylowy

WIELKI REWIZOR

DYKTATOREK

twardziel od kamer

Zerro

populista penalny

APARATCZYK

minister pokazowy

węgierski rekonwalescent

TWARDZIEL NA POKAZ

azylowy patriota

URLOPOWICZ EKSTRADYCYJNY

prokurator partyjny

emigrant sprawiedliwości

POGROMCA ELIT

straszak medialny

SPECJALISTA OD EWAKUACJI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 2917610fcc

WOJNA DOMOWA

Odbyła się Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Trwała sześć godzin z górą, acz premier z rzecznikiem rządu opuścili ją już po czterech. Wyjechali bez słowa, olewając zgromadzonych dziennikarzy, a nam się przypomniała scenka sprzed dekady: jak ówcześni aparatczycy SLD Dariusz Joński, Krzysztof Gawkowski i Marek Balt pod drzwiami sejmowego klubu Sojuszu tokowali do kamer, że będą budowali „nową formułę z nowym liderem", że „czas Leszka Millera minął" i „liderzy, którzy przegrywają, odchodzą". I wtem z jaskini wychynął Miller, rzucił do kamery, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie kończy, po czym warknął na młode wilczki: „Idziecie?". A oni skwapliwie: „Idziemy, idziemy" – i pokornie potruchtali za tatusiem, którego ojcobójstwo planowali chwilę wcześniej. Czy kiedyś dowiemy się, dlaczego za Donaldem Tuskiem potruchtał tylko Szłapka?

Zanim wrota pałacu zamknęły się przed oczami mediów – i ludu – przemówił prezydent. Mówił, nawet do rzeczy, o programie SAFE, będącym „długiem w wysokości blisko 190 miliardów złotych", który będzie spłacany długo po tym, jak „nas już nie będzie tutaj przy tym stole", toteż warto byłoby poznać „prawdziwy koszt tego zobowiązania". Tu akurat prezydent ma rację – i też chcielibyśmy to wiedzieć – ale widać było, że to nie jest ten temat RBN, który szczególnie go kręci. Znacznie bardziej ekscytowała go Rada Pokoju, w której mógłby zasiadać razem z Trumpem, ale Tusk mu nie pozwala, i to w ogóle nie jest tak, że trzeba za to zapłacić dużą bańkę papieru, bo to dopiero po trzech latach. „Na naszych oczach kształtuje się nowy ład i kluczowe pytanie brzmi: czy Polska chce być obecna tam, gdzie zapadają decyzje" – orzekł górnolotnie Karol Nawrocki, ale tak naprawdę widać było, że chodzi mu nie tyle o Polskę, co o to, żeby sam mógł usiąść koło pomarańczowego jak równy z równym. Przy okazji Nawrocki osiągnął nowy poziom mówienia o sobie w trzeciej osobie. O ile Andrzej Duda mówił o sobie per „Prezydent Rzeczypospolitej" – to Karol Nawrocki przyjął formułę znacznie bardziej godną: „Obecny prezydent Polski, który jest tutaj dzisiaj z państwem obecny".

Ekscytację Karola Nawrockiego – znacznie większą niż 190 dużych baniek długu – budzi także Włodzimierz Czarzasty i jego prywatne kontakty z żoną naszego redakcyjnego kolegi. Żeby jednak nie wyjść na wścibskiego, Nawrocki wyjaśnił, że sprawa jest doniosła: „Marszałek sejmu jest o jedno uderzenie serca od prezydentury". I jeszcze prezydent przekazał wizję hiobową: „Gdyby Pan Bóg zdecydował się odwołać z tego świata prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej dzisiaj, to jutro obowiązki prezydenta sprawowałby pan marszałek. Również Czarzasty". Ta formuła – „o jedno uderzenie serca od prezydentury" – to koncept amerykański, gdzie jak szlag trafi prezydenta, to wicek zostaje szefem i trwa do końca kadencji. Co po II wojnie światowej wydarzyło się trzykrotnie: kiedy Roosevelt odwalił kitę, kiedy Kennedy nie wrócił z Dallas i kiedy Nixona wreszcie dościgła afera Watergate. W Polsce marszałek, nie później niż dwa tygodnie po śmierci urzędującego prezydenta, ogłasza termin nowych wyborów, które muszą się odbyć nie później niż 60 dni od ogłoszenia. Do Związku Białorusi i Rosji nie zdążymy w tym czasie przystąpić, spoko.

Rzadko nam się to zdarza, więc napiszemy z radością: rząd wreszcie wpadł na jakiś konstruktywny pomysł. A konkretnie wpadł na niego min. Żurek. W związku z nieuchronnym wetem Karola Nawrockiego do nowelizacji ustawy o KRS Ministerstwo Sprawiedliwości nakłada „szablon praworządności" na wybory nowej rady według starej pisowskiej ustawy. Otóż posłowie większości sejmowej wybiorą do KRS tych 15 sędziów, których wcześniej zgromadzenia ogólne sądów wybiorą spomiędzy siebie, tak jak było to pomyślane w konstytucji. Można? Można.

Wojna domowa w Polsce 2050 zakończyła się, ale nie na pewno. Po tym, jak wybory wygrała Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, frakcja antypełczyńska pod przywództwem Pauliny Hennig-Kloski postanowiła odwołać szefa klub Pawła Śliza, albowiem poparł on Pełczyńską. Śliz na wszelki wypadek zakończył posiedzenie klubu. Premier i jego media zadają sobie dużo trudu, żeby nowej szefowej partii się w głowie nie przewróciło. Donald Tusk rozpoczął posiedzenie RM gratulacjami dla „pani minister Kasi Pełczyńskiej-Nałęcz" – żeby sobie nikt nie pomyślał, że teraz, jak jest szefową partii, zasługuje na poważne traktowanie. TVN24 odkurzył bardzo obiektywny reportaż „Czarno na białym" z września, gdzie w charakterze eksperta wystąpił nieznany nikomu żurnalista, który orzekł: „Nie wszystkie jej takie aktywności czy zachowania wynikają z jej świadomego wyboru". „Rzeczpospolita" wykosztowała się na sondaż z pytaniem, czy Pełczyńska-Nałęcz powinna zostać wicepremierem. „Tak" odpowiedziało 21,1 proc., „nie" – 35,8. Najwięcej, bo 43 proc., nie wie albo ma to w dupie – co akurat było wynikiem do przewidzenia i nic nie wnosi do dyskusji, ale wyraźnie sugeruje, że Pełczyńską-Nałęcz nie warto się przejmować. Bardzo to wszystko partnerskie.

Po 5,5 roku więzienia – prawomocnie – dostali Andriej G. i Aleksiej T. za „rekrutowanie do Grupy Wagnera". Zarzut brzmiał poważnie – w końcu to werbowanie najemników i to jeszcze na ruski szczіot – ale jak przejdziemy szczegółów, to zbrodnia wydaje się nieco groteskowa. Otóż złoczyńcy rozkleili koło 400 wlepek, na których był kod QR, odsyłający do jakiejś strony, na której można było się dowiedzieć, co to są Wagnerowcy i jak do nich wstąpić. Po pięć lat w Polsce dostają gwałciciele nieletnich: Michał L. z Ostrołęki, Bartłomiej M. z Krapkowic, ks. Dominik R. z Rzeszowa, a Piotr G. z Czernik, który przez 15 lat gwałcił swoją córkę, dostał 3,5 roku. Myślicie, że to są zbrodnie porównywalne? Dodatkowo – jak donosił Tefałen – rosyjscy agenci rozwieszali „plakaty dyskredytujące i ośmieszające przywódców Unii Europejskiej; robili to w Berlinie, jak i w Paryżu, wpadli w Polsce". Może warto wspomnieć, że dyskredytowanie i ośmieszanie liderów mieści się w zakresie wolności słowa gwarantowanej przez art. 11 Karty Praw Podstawowych UE oraz art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Luty 2014 r.

Świętej Żakliny

Poseł-ziobrysta Arkadiusz Mularczyk ogłosił, że chciał z dobrego serca pomóc sąsiadowi panu Adamowi Gromali. Mularczyk grozi jednak sądem dziennikarzom, którzy tę wiadomość będą rozpowszechniać. Chodzi o artykuł w „Polityce" Edyty Gietki, geniusza reportażu, pt. „Poseł Mularczyk dręczy dobrocią". Treść sprawia, że chce się odbezpieczyć granat. Mularczyk usiłuje swojego sąsiada-biedaka wyrzucić z jego mieszkalnego kontenera, żeby nie psuł otoczenia rezydencji posła.

Ze względu na groźby procesowe zaprzeczam, że choćby w myślach nazywam Mularczyka kanalią. Nie można bowiem udowodnić intencji. Zdarzenie nasuwa jednak refleksje ogólne:

1) Politycy mają nasrane w głowie i chcą świetnością górować nad wyborcami.

2) Antykomunista Mularczyk ma mentalność Stalina, ponieważ próbuje ludzi uszczęśliwiać na siłę i to tym bardziej, im bardziej rozpaczliwie bronią się przed szczęśliwą przyszłością.

3) Zrobienie komuś świństwa pochłania tyle energii i starań, że budzi podziw. Mularczyk jest zapracowany uszczęśliwianiem sąsiada.

4) Robione przez siebie draństwa katolicy przedstawiają jako dobroczynność, gdyż są zakłamaną społecznością religijną.

Świętego Apollina

„Gazeta Polska Codziennie", tygodnik i inne media Sakiewicza zapewniają, że świetnie prosperują. Jednocześnie stale i na różne sposoby żebrzą o pieniądze. Jest tak, jak by Sakiewicz zajeżdżał Porsche i siadał pod kościołem z kapeluszem, który podaje mu lokaj. W liberii byłoby do twarzy Janowi Pietrzakowi.

cd. św. Apollina

Dzieci, nie czyście zębów! Azorowi czyści się je od urodzenia, czyli pięć lat. Pomimo to większość trzeba mu było wyrwać, a reszta go boli. Nie chce jeść. Daniszewska gryzie polędwicę i miazgę wtyka Azorowi do pyska. Biedne psy zza płotu nietrafnie mu zazdroszczą. Jak biedny Azor ugryzie spadek po mnie, który leży w Szwajcarii w formie wielkich jak trumny sztab złota?

Świętego Amanda

Postanowiłem zaszczutego pana Mariusza Trynkiewicza ulokować w naszym domu. Czas, żeby w podzięce dla narodu polskiego Zyd przechował goja. Daniszewska się sprzeciwiła: dziennikarze wytropią „bestię", wezmą nasz dom pod obserwację i wykryją rzeczy gorsze niż Trynkiewicz.

Tej z Lourdes

Jeden ze sławnych przywódców konspiracyjnej Solidarności z lat 80. powiedział mi: dobrze, że pan zamordował ks. Popiełuszkę. Tymi mszami za ojczyznę straszliwie nam zaszkodził. Zbiegała się na nie cała warszawska konspira, a SB tylko fotografowało w kościele i pod nim. Tym sposobem Popiełuszko kompletował im i aktualizował albumy konspiracji. Żaden agent SB tylu nie wsypał.

Świętego Feliksa

Przed ogłoszeniem przez Janusza Palikota, że Kazimiera Szczuka jest jedynką do Parlamentu Europejskiego, kandydatka Twojego Ruchu odbyła trening polityczny w programie Moniki Olejnik TVN24. Wypadła wspaniale. Miała postrzępioną fryzurę, przylizaną à la topielica, delikatny makijaż, który nie zamalował jej wielkiej urody. Nosiła strój przemyślany przez projektanta na tę okazję: wyrafinowana elegancja z nutką frywolności przy szyi. Obok siedziała przeciwniczka Szczuki i gender. Zrazu mi się zdawało, że kartofle wsypano w kolorowy worek. Jakże się myliłem! Z worka wychyliła głowę posłanka Marzena Wróbel i z energią wiertarki mówiła księdzem Oko. Tembr głosu raziłby nawet na bazarze. Pani Szczuka mimicznie wyrażała to niesmak, to zdziwienie. Czasem coś szeptała do siebie, zapewne szatańskie wersety. Monika Olejnik nie przerywała Wróbel jej monologu idącego przeciw gender maszynowym ściegiem. W programie Olejnik Szczuka była lepiej oświetlona, a Wróbel nagłośniona. Ta (ten?) gender uciekała co sił w czułkach.

Świętej Beatrycze

Sąd mnie skazał na przeproszenie Tuska za wkładanie premierowi chujka w usta. Palę się przeprosić, ale nie wiem, czy mogę, tj. czy wyrok jest prawomocny. Tusk mógł założyć apelację, żeby się czymś zająć, a ja nie mam pojęcia, czy to zrobił. W ogóle prace rządu są nieprzejrzyste. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Bezdomne psy** trafią do zakładów karnych. Zbyszek, wracaj, piesek czeka.
- Jak informuje **„Forbes",** konie i kawior drożeją na potęgę. To zła wiadomość dla wielbicieli kawioru z okonia.
- **Kasia Tusk** w wannie znalazła pająka. Jak znamy rodzinę Tusków, to na pewno był krzyżak.
- **Częstochowa** chce wprowadzić nocną prohibicję. Pasterka w 2026 r. nie odbędzie się.
- Jak informuje **CBOS,** Polacy szczególnie lubią Włochów i Czechów. Szczególnie lubią wyśmiewać się z makaroniarzy i pepików.
- Z ujawnionej dokumentacji mailowej wynika, że **Epstein** podczas pobytu w Watykanie mieszkał u Jana Pawła II. Papieżowi trzeba przyznać, że nigdy nie poważał sypiania z małymi dziewczynkami.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Tajwan za dobrą cenę

Szanowna Pani Anna Grodzka, wydaje mi się, że myśli Pani tak samo jak ja. Od lat twierdzę, że nie będzie żadnej wojny o Tajwan. Jak tylko Amerykanie dojdą do wniosku, że Tajwan jest im niepotrzebny, sprzedadzą go bez skrupułów Chinom. Ostatnie kontrakty mające na celu przeniesienie produkcji strategicznych dla informatyki elementów z Tajwanu do USA tylko potwierdzają moje przypuszczenia. Będą tylko chcieli uzyskać jak najlepszą cenę. Bardzo proszę, aby Pani w następnym artykule dokończyła swoje przypuszczenie, gdyż jestem ciekawy, czy się nie mylę.

Mam jeszcze jedną prośbę. Z zainteresowanie przeczytałem cykl Pani artykułów o MMT. Czy są polscy ekonomiści, którzy zajmują się tą teorią? Jeśli tak, to może udałoby się Pani skłonić Ich do wypowiedzenia się na ten temat? Moim zdaniem zapoznanie szerszego grona czytelników z tym tematem jest niezbędne, gdyż – wg mnie – kontynuacja obecnego systemu doprowadzi do katastrofy.

Andrzej Kotuła

Kaczyński Generała

Co rusz w różnych mediach pojawiają się wyniki tzw. sondaży, czyli co kto o czym lub o kim sądzi. Ale są też badania sprawdzające pamięć i tu bywa ciekawiej, bo okazuje się, że nie od rzeczy byłoby zbadać również pytających. Kilka razy natknąłem się na sondaże dotyczące prezydentów naszego kraiku oraz ich dokonania i miały one jedną wspólną cechę: pomijały osobę generała Wojciecha Jaruzelskiego. Byłoby w porządku, gdyby pytanie dotyczyło tych wybranych w wyborach powszechnych, ale takiego zastrzeżenia nie zauważyłem. Nasuwa się pytanie o kompetencje pytających oraz przyczyny pomijania pierwszego po wybuchu wolności najwyższego dostojnika w państwie. Wiem, pamiętam, wygrał o włos, jednak nie było takich niejasności jak ostatnio. Osoba Generała, mimo że nieżywa, wciąż budzi emocje i jest dla niektórych jak wrzód na dupie. Wałęsę usiłuje wygumkować z historii Polski Kaczyński. Skutek znany. Ciekawe, czy pomijanie gen. Jaruzelskiego to skutek sklerozy lub nieuctwa, czy może jest to działanie celowe. A jeśli tak, to kto jest Kaczyńskim Generała? Jestem dziwnie pewien, że będzie równie skuteczny.

Waldemar Miksa, Gdańsk

Powtarzajmy banał

Nie czepiałbym się – szanowny redaktorze Jaruga – papieża Leona o to, że gada banały. Niech gada, że wojna to zło (…). I niech powtarzają ten banał wszyscy, włącznie ze sztuczną inteligencją. Wojna to zło.

A od siebie dodam, że wojnę wygrywają tylko ci, którzy jej nie prowadzą. Powtarzajmy wszem i wobec: wojna to zło – może ludzkość kiedyś się ocknie. No, chyba długo to trzeba będzie powtarzać. Dawno pożółkły już piękne plakaty z czasów PRL z napisem: „Nigdy więcej wojny".

Marcin Saar, Gdańsk

eprasa.pl 2917610fcc

Czarzasty też mi odmówił

„NIE” rozmawia z Piotrem Czabanem, byłym dziennikarzem TVN, twórcą kanału „Czaban robi raban”

– 10 lipca 2025 r. polski żołnierz skatował uchodźcę z Afganistanu: najpierw strzelał do niego gumowymi kulami, a gdy ten upadł, wielokrotnie uderzył go kolbą karabinu, łamiąc mu kości twarzy i trwale uszkadzając oko. Uchodźca nie stawiał oporu. W twoim grudniowym reportażu „Cała prawda o ataku na granicy” po raz pierwszy zobaczyliśmy nagranie z tego zdarzenia – choć inne media miały je wcześniej.

– Nagranie i zdjęcie skatowanego człowieka Onet miał od lata. Zdecydował się go nie opublikować. Rząd, służby i większość mediów z ofiary zrobiły sprawcę, choć prokuratura potwierdziła, że uchodźca nie atakował żołnierza. Udało mi się porozmawiać z tym Afgańczykiem. Paradoksalnie, w przeszłości inni polscy żołnierze byli goszczeni w domu rodziny w Afganistanie. Tak: jego rodzina współpracowała z amerykańskimi i polskimi żołnierzami. Gdy NATO zostawiło Afgańczyków na pastwę talibów, rodzina mojego rozmówcy musiała uciec do Pakistanu. A po latach on sam został w Polsce zmasakrowany przez żołnierza, zaś rząd i służby zrobiły z niego groźnego przestępcę, ukryły przed światem i przed zakończeniem jakiegokolwiek procesu sądowego wyrzuciły go z Polski. To samo uczyniono z jego przyjacielem – świadkiem napaści żołnierza.

– Twój kanał ujawniający prawdę o tym, co dzieje się na pograniczu polsko-białoruskim, sprawia, że jesteś nieustannie obiektem zainteresowania służb. Z jakiego przesłuchania przed chwilą wróciłeś, jeżeli to nie tajemnica? Rozumiem, że ma to związek z twoją pracą jako dziennikarza – teraz obywatelskiego.

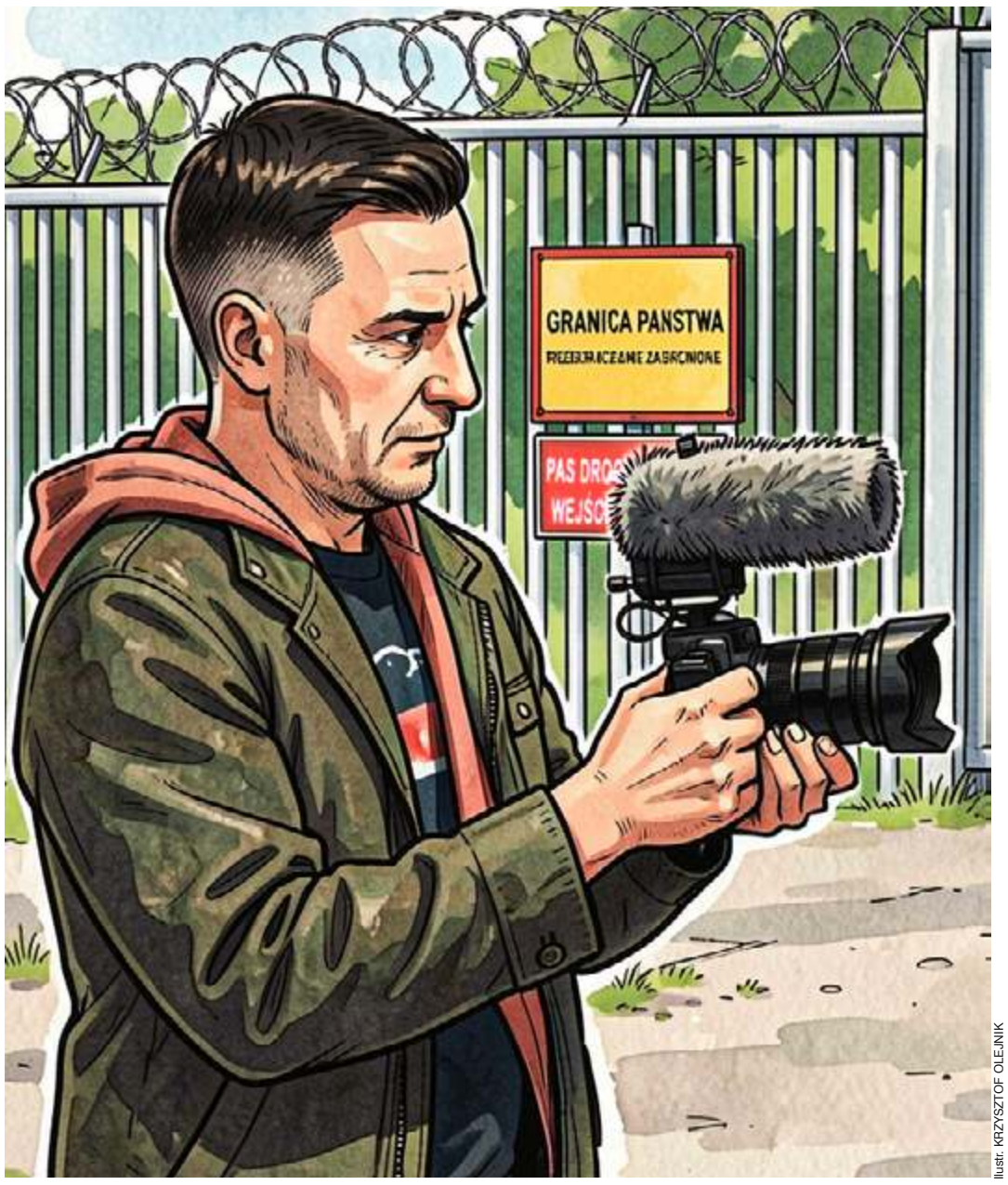
– Ja cały czas jestem dziennikarzem i nie sądzę, że można tak mnie zamykać w ramki, szufladkować: obywatelski czy nieobywatelski. Jestem nadal dziennikarzem – takim, jakim byłem do tej pory – i to, że jestem poza dużym medium, nie oznacza, że coś się w moim podejściu do tego zawodu zmieniło. Wiem, że miałeś czyste intencje przy pytaniu, ale nie brakuje przecież takich, co łatwo przyklejają mi łatkę: że Czaban to „dziennikarz i aktywista”. A jeśli „aktywista”, to pewnie informacje, które podaję na swoim kanale, są mało wiarygodne, bo aktywiści to, panie, wiadomo, jacyś odklejeńcy. Zresztą i przedstawiciele władzy tak mówili o ludziach działających humanitarnie na pograniczu polsko-białoruskim, więc ja po prostu na to zwracam uwagę.

– Masz rację, zapamiętam.

– Jeżeli chodzi o to konkretne przesłuchanie, to powiem ogólnie: dotyczyło śmierci jednego z cudzoziemców na pograniczu polsko-białoruskim. Całą historię opowiadam na moim kanale w reportażu „Żyje uchodźca uznany za zmarłego. Kogo pochowano w Bohonikach?”. Wielu z tych ludzi, którzy tutaj umierali w lasach, spoczęło na naszych cmentarzach. Wielu z nich nie ma imienia i nazwiska. A jeśli je mają, to zazwyczaj nie jest to zasługa polskiego państwa jako systemu, a ludzi, którzy po prostu sami postanowili działać i pomóc policji w ustaleniu tożsamości zmarłych. Jestem jednym z nich. Prokuratura uznała, że jeden z pochowanych cudzoziemców to konkretna osoba, a ja przyszedłem do policji z informacją, że ten, którego uznano oficjalnie za zmarłego, żyje i teraz trzeba ustalić, kto faktycznie leży w tym grobie.

– Teraz, kiedy rozmawiamy, na Podlasiu mamy tęgie mrozy. Jak w tej chwili wygląda sytuacja na pograniczu? Bo za chwilę – tak to sobie wyobrażam – w większości mediów pojawi się taki oto komunikat, że granica jest szczelna i przez zasieki nawet mysz się nie przeciśnie.

– Te komunikaty są powtarzane każdej zimy. Rząd się chwali, że kryzys humanitarny właściwie się zakończył – ale na wiosnę okazuje się, że Łukaszenka ma zupełnie inne plany i dalej pcha ludzi do lasu w kierunku Polski. Wszystko wskazuje na to, że teraz sytuacja wygląda podobnie. Przypomnę ci, że w grudniu ubiegłego roku przez podkop pod zaporą z Białorusi do Polski przeszło prawie 200 osób. Części z nich do dziś nie odnaleziono. Ci ludzie nie podlegają już w Polsce prawu azylowemu, a więc należy zakładać, że większość wypchnięto na Białoruś. Jednak do niektórych z nich ratownikom humanitarnym udało się dotrzeć z pomocą. Z moich informacji wynika, że tych ratowników służby wzywają teraz na przesłuchania, a w tle są oczywiście paragrafy dotyczące organizowania nielegalnego przekroczenia granicy. Tak to wygląda. Do października zgłoszeń z prośbą o pomoc od tych ukrywających się w lasach było więcej. Im zimniej, tym mniej tych zgłoszeń się pojawia. Wiemy, że są też ludzie po stronie białoruskiej. Do mnie też bezpośrednio docierają prośby o pomoc w leczeniu, w zakupie jedzenia. Ludzie, którzy trafili do państwa rządzonego przez Łukaszenkę, są tam często w sytuacji bez wyjścia, bez pieniędzy; są ludźmi trzeciej kategorii. Ktoś widzi tę moją stronę na Facebooku, widzi, że zajmuję się też działalnością humanitarną, informuję o tym, co się dzieje na pograniczu. Gdzieś mój numer telefonu się rozchodzi jako numer do pomocy humanitarnej, ale niestety, osobom po stronie białoruskiej nie jestem w stanie pomóc.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Są tacy, którzy wchodzą do tej niebezpiecznej gry?

– Ciągle starają się to robić dziewczyny z organizacji Hope and Humanity, Małgorzata Rycharska, Zosia Krasnoworska. To są w zasadzie jedyne osoby, które od kilku lat tego kryzysu konsekwentnie starają się nieść pomoc ludziom za granicą. I też im tłumaczą, że tylko legalne przejście może pozwolić na wejście w procedury prawne i jest – z założenia – bezpieczne. Chociaż na legalnym przejściu też są pushbacki. Ostatnio dramatyczną historię opisała na swoim Facebooku Małgorzata Rycharska. W Terespolu zawrócono na Białoruś kobietę, która wcześniej miała poronić.

– Wróćmy wspomnieniami do Usnarza Górnego z sierpnia 2021 r. To miejsce symboliczne, bo od tego momentu zaczyna się kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej. Byłeś pierwszym dziennikarzem, który znalazł się w tym miejscu w tamtym czasie. Pracowałeś jeszcze wtedy w TVN.

– Nie byłem tam pierwszy. Ale bardzo wstydliwe jest to, że dziennikarze, którzy byli tam wcześniej – bodajże pięć dni przede mną – nikogo publicznie o tym nie informowali. Uważam to za hańbiące dla tych, którzy wiedzieli, co się dzieje w Usnarzu na pięć dni przed postem mojego przyjaciela, filozofa Mirka Miniszewskiego. To on na swojej stronie facebookowej alarmował o tym, że w Usnarzu całe rodziny, otoczone przez polskie i białoruskie służby, pozostają w takim kotle bez wyjścia.

– W pasie ziemi niczyjej, między granicami obu państw.

– Tak to było opisywane, ale przecież nie ma czegoś takiego jak „pas ziemi niczyjej”. Ci ludzie byli po stronie polskiej, później zostali przepchnięci na stronę białoruską. Oczywiście zanim trafili do Polski, byli przepchnięci ze strony białoruskiej. Tam trwała walka służb polskich i białoruskich o to, kto ostatecznie i w którą stronę przepchnie rodziny z dziećmi.

– I media o tym wiedziały przed twoją relacją?

– Był tam między innymi Michał Kość, fotoreporter, który bardzo nerwowo reaguje zawsze, kiedy przypominam, że byłem pierwszym dziennikarzem, który przeprowadził relację na żywo z Usnarza. Bo on się wprost chwali, że był tam wcześniej. Była też ekipa z telewizji, w której wtedy pracowałem. O czym nie wiedziałem, dowiedziałem się dopiero będąc już miejscu. Ci dziennikarze widzieli to wszystko, sfilmowali, ale nie wołali o pomoc dla tych ludzi, dla tych dzieci. Po prostu spokojnie przetrzymali temat *exclusive*; wyłącznie dla siebie. Ktoś przygotowywał reportaż i dopiero po jego ukończeniu, tydzień czy dwa tygodnie później, zamierzał powiedzieć, że coś takiego się dzieje.

– A ty skąd się dowiedziałeś?

– Byłem wtedy na urlopie, zostałem powiadomiony przez Kasię Mazurkiewicz. Nie znałem jej wtedy dobrze. To dziewczyna z Krynek, która po prostu była bardzo wzburzona faktem, że media o tym w ogóle nie mówią; przecież migranci byli już na granicy wcześniej, zanim medialnie wybuchł Usnarz. Gdy jechałem własnym autem do Usnarza Górnego, dzwoniłem do swojej lokalnej redakcji i prosiłem o przysłanie operatora kamery, o wóz satelitarny. Na początku usłyszałem: nie. Więc zadzwoniłem do Warszawy, do wydawcy, który zrozumiał sytuację i pomógł mi w tym, żeby został do mnie wysłany operator.

– Opowiedz o swoim zetknięciu z Usnarzem.

– Kiedy przyjechałem, na miejscu jeszcze nie było operatora. Ale jak zobaczono, że przyjechał pan z telewizji, to podeszli do mnie zmęczeni pogranicznicy, którzy mówili: „dobrze, że pan przyjechał”. „Niech w końcu oni” – czyli władza – „coś zadecydują; my już tu tydzień stoimy, my im za własne pieniądze kupujemy jedzenie, ubrania i po prostu nie wiemy, jak długo to potrwa”. Nawet nagraliśmy taką wypowiedź pogranicznika. Mam do nich za to naprawdę olbrzymi szacunek, bo oni rzeczywiście wtedy pomagali. Ale później dostali wytyczne i zaczęły się pushbacki. Po tym nagraniu ten funkcjonariusz się zreflektował, że może mieć problemy. Wiedząc, ile dobrego ten człowiek zrobił, nie chciałem mu zaszkodzić. Chciałem, żeby był spokojny i skasowałem na jego oczach to nagranie. I to był pierwszy – i jedyny – raz, kiedy zrobiłem coś takiego, pracując w TVN.

– Zaraz wtedy pojawili się też tam politycy różnych opcji. Od lewa do prawa.

– Słynny poseł Szczerba z posłem Jońskim na przykład. Kiedy jechali do Usnarza, zadzwonili do mnie i zapytali, co jest tam potrzebne. Powiedziałem, że na pewno jedzenie.

– I słynny ze swojego sprintu z reklamówką pełną jedzenia poseł Franek Sterczewski.

– Za to później Sterczewski został schowany, bo źle się kojarzył z tą reklamówką. To dzielny człowiek. Tak chciał ratować uchodźców. Jego gest został wyśmiany w Polsce, a partia, którą reprezentował, schowała go.

– A dwa lata później, po wyborach wygranych przez Koalicję Obywatelską, ci, którzy wcześniej płakali nad losem migrantów na pograniczu, bez wstydu zmienili optykę. Lekko weszli w pisowskie buty. Wolontariusze są zastraszani, prokuratura zakłada im sprawy, odbywają się procesy.

– W materiałach kampanijnych Koalicji Obywatelskiej z 2023 r. pojawiły się wątki uchodźcze, migranckie, ale takie kryminalizujące. Było to bardzo niepokojące. Jarosław Kaczyński wymyślił wtedy, że przy okazji wyborów należy zrobić referendum w sprawie migracji. Migranci okazali się łakomym kąskiem, paliwem wyborczym tej kampanii. I chyba poza Zandbergiem i lewicową częścią Koalicji Obywatelskiej cała reszta nadawała już na jednej antyimigranckiej fali. Po wyborach szukałem sprzymierzeńców dla tej sprawy, chciałem zrobić rozmowę z ważnym politykiem, który otwartym tekstem mówiłby o potrzebie działań humanitarnych, o zaprzestaniu pushbacków.

– Z kim konkretnie?

– Chciałem umówić się na rozmowę z Szymonem Hołownią. Odmówił. Próbowałem się z nim skontaktować jeszcze w kampanii wyborczej, poprzez szefową jego sztabu. On miał informację o tym, że chcę nie tylko zrobić z nim wywiad. Chciałem przekonywać go do powołania w przyszłym sejmie zespołu śledczego – ponieważ miałem wiedzę na temat bardzo dramatycznych wydarzeń na pograniczu, udokumentowanych, które należało wyjaśnić do końca. Na przykład, jak pracują tam służby… Odmówił także Michał Szczerba, bez jakichś głębszych wyjaśnień. Obecny marszałek sejmu RP też powiedział „nie”.

– Jeden tylko wicemarszałek senatu Maciej Żywno ratuje honor tego całego „demokratycznego” towarzystwa. Może też dlatego, że z autopsji wie, jak to jest udzielać komuś pomocy w ciemnym i zimnym lesie. Za to na koncie Kancelarii Premiera 27 stycznia pojawił się wpis: „Radzimy sobie najlepiej w całej Europie, jeśli chodzi o zabezpieczenie lądowej granicy. Zrobiliśmy to własnymi siłami, bez wzniecania kampanii nienawiści i pogardy wobec ludzi”…

– Myślałem, że to jakiś ponury żart. Nazywali ludzi bydłem, hordami. Pozwolili do nich strzelać. Wyrzucali do lasu. Odebrali prawo do azylu. Z ofiary zrobili sprawcę. Prześladowali ratowników humanitarnych. Kłamali. I nadal to robią. To jest po prostu chore, jak można uprawiać politykę dosłownie na grobach uchodźców i migrantów. Jak można tak otumanić społeczeństwo. Pomocne są w tym te media, które ukrywają prawdę o kryzysie humanitarnym na pograniczu polsko-białoruskim.

Po czymś takim już nikt przyzwoity nigdy nie powinien oddać swojego głosu na Donalda Tuska i jego ekipę. Te kłamstwa są karmione ślepym oddaniem jego elektoratu. Tak, jesteście za to współodpowiedzialni – zwracam się do tych wyborców Tuska, którzy nadal ślepo mu wierzą

i wybaczają mu wszystkie grzechy – bo traktujecie premiera jak świętą krowę i on to perfidnie wykorzystuje. Będąc świadomym tego, co dzieje się na pograniczu, czuję pogardę premiera mojego kraju. Ma nas za głupców, za ludzi drugiego sortu. Nigdy nas nie wysłuchał. Nawet nie próbował. Gra szantażem. Bo przyjdzie Braun, bo wróci Kaczyński… I tak w tym polskim kołowrotku nadal będą zarządzać strachem i z uśmiechem łamać kolejne prawa człowieka. Obudźcie się! Tupnijcie nogą! Tylko perspektywa utraty władzy może ich zmusić do działania zgodnego z prawem, etyką i człowieczeństwem. Tego draństwa nie są się niczym wytłumaczyć.

Rozmawiał **ARKADIUSZ PANASIUK**

eprasa.pl 2917610fcc

Prawacy hodują faszoli

Produkt uboczny

Jarosław Kaczyński i Donald Trump mają wspólny problem i nie chodzi tylko o rychły uwiąd starczy. Ideologiczne bękarty wyliniałej prawicy dojrzały i idą po swoje.

– Rozumiem, że on jest sprawnym retorem i trafia w realne emocje i problemy, ale to jest robione w sposób, który kompromituje Polskę straszliwie i wyklucza współpracę z USA. To zaś oznacza uderzenie w polskie bezpieczeństwo – mówił o Grzegorzu Braunie podczas styczniowej konwencji PiS w Skarżysku-Kamiennej Jarosław Kaczyński.

Kacze gody

Prezes Prawa i Sprawiedliwości kategorycznie wykluczył jakikolwiek sojusz z frontem gaśnicowym i jego przywódcą. Głupia sprawa. W najnowszym sondażu CBOS Koalicję Obywatelską wskazało 29,3 proc. respondentów, a Prawo i Sprawiedliwość uzyskało 20,4 proc. Na trzecim miejscu uplasowała się Konfederacja z wynikiem 11,2 proc. Największym wzrostem poparcia może się natomiast pochwalić właśnie partia Grzegorza Brauna. Konfederacja Korony Polskiej przytuliła 9,8 proc. głosów, co oznacza wzrost o 2,8 pkt. proc. Nawet jeśli założyć, że sondaże nie są miarodajne, trudno nie zauważyć pewnego trendu, który może Kaczyńskiemu zmarszczyć dupę.

Wiewiórki donoszą, że zaostrzenie tonu wobec Brauna nastąpiło po grudniowym spotkaniu Kaczyńskiego z ambasadorem USA Thomasem Rose'em. Prezes PiS miał usłyszeć, że „rząd w którym jakikolwiek udział miałby Grzegorz Braun, nie może liczyć na wsparcie Stanów Zjednoczonych". Ziobro zdziwienia. Czułe przyjacielsko-biznesowe stosunki prezydenta Trumpa z premierem Izraela Binjaminem Netanjahu nijak nie rezonują z głoszonymi na sejmowej mównicy opowieściami Brauna o aktach „satanistycznego, talmudycznego, rasistowskiego triumfalizmu" na polskiej ziemi. Amerykańskie konserwy mierzą się z podobnym co Kaczyński kłopotem na własnym podwórku. Nick Fuentes i jego Groyperzy – lustrzane odbicie Brauna i gaśniczaków – uklepują grunt pod rewolucję polityczną i całkiem sprawnie im idzie.

Sieg Nick!

Nick Fuentes to zaledwie 27-letni lider neofaszystowsko-białonacjonalistycznego nurtu w USA, który buduje własną frakcję młodych radykałów (wspomnianych Groyperów) i próbuje pociągnąć całą prawicę w jeszcze bardziej ekstremalnym kierunku. To obecnie dynamicznie rosnąca antysemicka, rasistowska, mizoginistyczna i antyizraelska siła na amerykańskiej ultraprawicy. Szczególnie wśród ludzi poniżej 40. roku życia. „Wśród czołowych konserwatystów narasta obecnie niepokój, bo Fuentes notorycznie testuje kultowe oddanie swoich młodych fanów, brutalnie atakując ich patriarchalną postać, prezydenta Trumpa, za to, że nie jest wystarczająco prawicowy. Dał się poznać jako jeden z najgłośniejszych prawicowych głosów zwracających się przeciwko prezydentowi" – recenzował Fuentesa „The New York Times". Zakumplowany z J.D. Vance'em konserwatywny dziennikarz Rod Dreher dorzucił do pieca i przytoczył szacunki, z których wynika, że blisko 40 proc. pracowników Partii Republikańskiej lub obsadzonych przez nią instytucji w Waszyngtonie to wyznawcy Fuentesa.

Nick Fuentes początkowo był młodym, entuzjastycznym zwolennikiem Trumpa, ale szybko mu przeszło. W 2017 r. rozpoczął codziennie internetowe transmisje „America First with Nicolas J. Fuentes", które osiągnęły milionowe zasięgi. Rozkręcił antyestablishmentowy i antyelitarny nurt na podobnych co Grzegorz Braun populistycznych popłuczynach.

Według Fuentesa „Żydzi nie mają miejsca w zachodniej cywilizacji", największym wyzwaniem dla jego ojczyzny jest „zorganizowane żydostwo w Ameryce", a „większość czarnych ludzi powinna siedzieć w więzieniach". Aha, jeszcze kobiety: „są do dupy", bo „za dużo gadają i już nie są seksowne". Lider nowego ruchu wypowiedział się też ciepło o pracownikach mediów, którymi rządzą globaliści: „Chcę, aby ludzie kierujący CNN byli aresztowani, deportowani lub wieszani, ponieważ jest to celowe działanie".

Truchła prawicy

W 2019 r. Fuentes i jego Groyperzy wszczęli tzw. wojnę Groyperów z innymi altprawicowymi aktywistami. Najeżdżali spędy mainstreamowej prawicy, m.in. imprezy organizowane przez beniaminka Trumpa Charliego Kirka, i grillowali prelegentów za proizraelskie sympatie. Pojawiły się nawet sugestie, że stali za odstrzeleniem Kirka we wrześniu 2025 r.

Samego Trumpa Fuentes określa mianem zużytego i nieautentycznego. Podczas jednej z internetowych transmisji wyjaśniał, że krytykuje prezydenta USA za zbyt małą brutalność wobec imigrantów i zbyt pobłażliwe działania ICE. „Mój problem z Trumpem nie polega na tym, że jest Hitlerem – mój problem z Trumpem polega na tym, że Hitlerem nie jest" – mówił. Ruch MAGA określił „największym oszustwem w historii" i martwym tworem. Po pierwszym wybuchu afery z aktami Epsteina przejechał się na Trumpie jak na łysej świni: „Pieprzyć cię. Pieprzyć cię, tłusty dupku! Jesteś żałosny, jesteś żartem, jesteś głupi, nie jesteś zabawny" – perorował. Fuentes przedstawia prezydenta USA jako polityka, który zdradził białych nacjonalistów, bo nie poszedł wystarczająco daleko w antysemityzmie, antyimigracji i autorytaryzmie. Co więcej, młody streamer podgryza MAGA z prawej strony, zmuszając populistów w jego szeregach do nawiązania z nim kontaktu i wpuszczenia swojej ideologii do obozu pod groźbą wymalowania członków głównego nurtu jako centrowych sprzedawczyków w przypadku odmowy.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Choć Fuentes nie ogłosił kandydatury na urząd publiczny w wyborach połówkowych w 2026 r., zapowiedział, że jego ruch będzie przyglądał się każdemu kandydatowi, który w nich startuje, i pomoże podjąć ludziom decyzję. Wiele wskazuje też na to, że postawił sobie też za cel storpedowanie potencjalnej kampanii prezydenckiej Vance'a w 2028 r. „Nie możecie mnie zmusić, żebym głosował na jakiegoś grubego dupka z mieszaną rasowo rodziną" – zadeklarował, subtelnie nawiązując do hinduskiej żony Vance'a.

Chodzą słuchy, że pisowskie towarzystwo skupione wokół Przemysława Czarnka, Jacka Sasina i Patryka Jakiego liczy na przyciągnięcie wyborców Brauna. To takie samo wołanie srającego na puszczy jak próba przejęcia wyborców Mentzena przez Tuska.

Prawicowy mainstream – zarówno polski, jak i amerykański – latami hodował pod dywanem skrajne odłamy swoich frakcji, tolerując je po cichu w nadziei, że wykorzysta ich zasoby wedle własnych potrzeb. Zwapniali prawicowcy nie doszacowali. Fuentes i Braun zaczynają żżerać swoich żywicieli i oblizują się ze smakiem.

IDALIA DUBICKA

MON da dupy Amerykanom

Technologiczny feudalizm nad Wisłą

Eksambasador USA w Polsce Mark Brzezinski, broniąc histerycznej reakcji swojego następcy Toma Rose'a na decyzję Czarzastego o niepopieraniu Nobla dla Trumpa, niechcący wysypał się z intencjami pomarańczowego zaborcy. W programie „Gość Wydarzeń" w Polsat News perorował, że nie rozumie, dlaczego Polska prowokuje Stany Zjednoczone podatkiem cyfrowym. „Relacje polsko-amerykańskie są dzisiaj silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej i wykraczają poza rządy, poza politykę, a nawet poza wojsko i bezpieczeństwo" – stwierdził. Na potwierdzenie zaznaczył, że Google, Microsoft i Palantir robią u nas świetną robotę. Ostatni z wymienionych systemów faktycznie zacieśnia więzy między USA a Polską w sposób szczególny. Można rzec, ostateczny, bo Stany Zjednoczone są morderczo skuteczne w realizacji własnych interesów.

Pogrobowiec WTC

27 października 2025 r. Ministerstwo Obrony Narodowej podpisało list intencyjny z firmą Palantir Technologies – absolutnym liderem w zakresie zarządzania danymi i ich wykorzystania w zabezpieczeniu logistycznym pola walki, projektowaniu przyszłości z AI. Kooperacja ma objąć m.in. utworzenie Centrum Implementacji Sztucznej Inteligencji w Dowództwie Komponentu Obrony Cyberprzestrzeni. Jej dokładny zakres poznamy, gdy zostaną podpisane umowy wykonawcze. Albo i nie.

Władysław Kosiniak-Kamysz wypowiadał się o planowanej współpracy w samych superlatywach. Trzeba ufać jego ocenie, bo romansu armii z gigantem cyfrowym nie poprzedziły konsultacje społeczne. Zapewne ze względu na tajemnicę wojskową. Szkoda, oj, szkoda. W dobie świeżej strategii USA, w której Ameryka nie może się zdecydować, czy aby na pewno obchodzi ją europejskie bezpieczeństwo, nieroztropnie konsumować takie związki bez zabezpieczenia.

Palantir narodził się w 2003 r. Bezpośrednim impulsem do powstania firmy były zamachy z 11 września 2001 r. Jeden z ojców założycieli konsorcjum Peter Thiel uznał, że technologie używane do wykrywania oszustw finansowych w PayPal mogą zostać zaadaptowane do śledzenia przepływów pieniężnych terrorystów i zapobiegania atakom. Przez pierwsze lata firma działała w ukryciu, skupiając się na kontraktach rządowych ze wsparciem kapitałowym służb wywiadowczych USA. Z czasem wyszła naprzeciw oczekiwaniom sektora komercyjnego. Z usług firmy korzystają m.in. brytyjska ochrona zdrowia NHS, producent samolotów Airbus, Ferrari, sieć amerykańskich marketów Walmart czy systemu ubezpieczeń medycznych Medicaid. Palantirowi zaufał także watykański szpital. Polski rząd skorzystał z usług firmy, tworząc platformę do szukania pracy przez uchodźców z Ukrainy.

Styki i tropy

Korporacja oferuje cztery podstawowe usługi. Foundry to platforma, która działa jak centralny system operacyjny, łącząc dane z różnych źródeł w jeden spójny model biznesowy, co pozwala podejmować decyzje oparte na sztucznej inteligencji i danych w czasie rzeczywistym. Mówiąc po ludzku, pozwala przedsiębiorstwom szybko przemielić gigantyczne zasoby danych. Platforma Apollo ułatwia wdrażanie oprogramowania i łączenie ze sobą różnych danych. AIP służy do integrowania sztucznej inteligencji z procesem podejmowania decyzji. Wisienką na technologicznym torcie jest Gotham. Flagowe oprogramowanie firmy wykorzystywane przez agencje wywiadowcze, wojsko oraz policję. Służy do analizy kryminalnej, planowania misji i zwalczania terroryzmu. Ma też – jak sugeruje firma – wykrywać działania, „które mogą stanowić potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa". Tych jest sporo.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dla przykładu, na potrzeby prześladowań, tfu, walki z nielegalną imigracją w USA, Palantir stworzył rozszerzenie oprogramowania o nazwie ImmigrationOS. Narzędzie jest mocno krytykowane przez organizacje broniące praw człowieka. Zarzuca mu się masową inwigilację, ryzyko błędów danych, profilowanie i naruszanie praw jednostki. Palantir na zarzuty odpowiada standardowo, że dostarcza tylko technologię, a decyzję podejmuje zleceniodawca, czyli ICE. Ultrakonserwatywne poglądy Petera Thiela i jego równie szerokie, co oficjalne poparcie dla Donalda Trumpa na pewno nie mają z tym nic wspólnego. Zatem gdzie leży problem?

Wiedza i władza

Firma podkreśla, że tworzy narzędzia z wbudowanymi mechanizmami ochrony prywatności. Wśród zabezpieczeń wymienia precyzyjne zarządzanie dostępem do zasobów czy logi audytowe. Organizacje praw człowieka (Privacy International, EFF, Amnesty International), byli pracownicy i liczne raporty wskazują jednak, że cyfrowy moloch nie jest tak kryształowy, jakim się przedstawia.

Palantir umożliwia łączenie gigantycznych zbiorów danych z różnych źródeł – rejestrów medycznych, kartotek policyjnych, danych telefonów komórkowych (również w czasie rzeczywistym na podstawie logowania do wież nadawczych). Można powiedzieć, że oprogramowanie zbiera całe cyfrowe DNA obywateli. Tym sposobem technologiczny ekosystem tworzy cyfrowy profil człowieka bez jawnego gromadzenia nowych danych przez samą firmę.

To superbaza danych pozwalająca śledzić całe społeczności, nie tylko złych terrorystów, ale imigrantów, aktywistów, polityków czy dziennikarzy. Byli pracownicy Palantira pisali w raportach, że firma buduje „infrastrukturę państwa policyjnego" i normalizuje autorytaryzm. Wiedzieli, przed czym przestrzegają. Amerykańskie służby imigracyjne dzięki platformie błyskawicznie typowały adresy imigrantów i urządzały masowe naloty na całe dzielnice.

Algorytmy firmy są jej własnością. Nikt nie ma do nich wglądu. Z jednej strony pozwala to firmie chronić przewagę konkurencyjną, z drugiej – sugeruje brak transparentności. Trudno zweryfikować błędy oprogramowania, np. fałszywie pozytywne wyniki w przypadku niesłusznego oznaczenia kogoś jako zagrożenia. To w konsekwencji uniemożliwia skuteczną kontrolę sądową lub parlamentarną nad systemem.

Raporty amerykańskiej armii oceniały niektóre realizowane wspólnie z Palantirem projekty jako wysoce ryzykowne pod względem bezpieczeństwa. Dlaczego?

Jeden zwerbowany przez obcy wywiad zgniłek z dostępem do superbazy może w trybie pilnym dobrać się do setek tysięcy rekordów, profili celów, danych geolokalizacyjnych i taktycznych.

Palantir stoi na stanowisku, że ich technologia ogranicza nadużycia, ale w praktyce wszystko zależy od tego, kto i jak konfiguruje system.

„Bazy danych są obecnie największą walutą – cenniejszą niż złoto, dolary, euro… To największy skarb współczesnego świata. Trzeba nimi dobrze zarządzać i odpowiednio je chronić" – mówił o współpracy z Palantirem minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Dlatego MON postanowiło oddać kluczowe systemy cyberbezpieczeństwa współfinansowanej przez CIA firmie, prowadzonej przez jawnego zwolennika Donalda Trumpa. Niech żyje suwerenność.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 2917610fcc

Niechętna pochwała Czarzastego

Mimo wszystko szacun



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie romantyzuję faktu, że Włodzimierz Czarzasty powiedział przydupasom Trumpa, żeby się walili na ryj, bo ich pomarańczowy idol nie zasługuje na pokojowego Nobla. Wszyscy wiemy, że nie chodzi o pokój, tylko o Trumpa i jego bromans z Nawrockim. (Bromans – wyjaśniam szczęśliwie niezanurzonym w amerykańskiej popkulturze – to sklejenie słów „bro" i „romans": związek między mężczyznami, niepokojąco intensywny, a przy tym nie po prostu, po bożemu, gejowski).

Czarzasty naprawdę uwierzył, że jest „drugą osobą w państwie" i z tej pozycji może wyzwać pierwszą osobę na „formę szlachetnej, męskiej walki wręcz" – toteż prowokowanie prezydenta stało się jego głównym programem politycznym. Karol Nawrocki, jak wiadomo, nie każe się dwa razy prosić – stąd żenująca agenda Rady Bezpieczeństwa Narodowego: „Czy jesteś ruskim szpiegiem? A czy ty jesteś alfonsem?". Jest za tą wymianą infantylnych ciosów coś gorszego niż polityczna głupota; jest otóż testosteron. Serio: wybaczcie feministyczny wtręt, ale wyobrażacie sobie jakiekolwiek kobiety w polityce wdające się w tak żałosną połajankę? Na taki poziom nie spadłaby nawet konfrontacja Ewy Kopacz z Beatą Szydło.

W tym miejscu chciałabym złożyć oświadczenie: dla mnie jako człowieka lewicy Karol Nawrocki jest postacią wyjątkowo obrzydliwą. Nie dlatego jednak, że był kibolem, napierdalał się w ustawkach, trenował boks i do dzisiaj na oficjalnych uroczystościach ma zwyczaj stawać w rozkroku – jak by chciał zademonstrować, że jaja ma tak potężne, że mu się nie mieszczą między nogami. Nie dlatego, że na studiach dorabiał jako bramkarz i zapewne wpuszczał do Grandu seksworkerki (zauważyliście, że na potrzeby tej dyskusji w oczach postępowych demokratów stały się one na powrót prostytutkami?) – i nawet nie z powodu po cwaniacku przejętej kawalerki znajomego alkoholika. Ta narracja jest wysoce klasistowska – podobnie jak cała kampania Trzaskowskiego, która opierała się na przekazie, że Nawrocki jest z nizin, a Rafał z dobrego domu.

Nie, to, co naprawdę czyni Karola Nawrockiego nieakceptowalnym w moich oczach – to fakt, iż jest on nierzetelnym historykiem, który całą swoją (oszałamiającą)

karierę życiową zbudował na kreowaniu za państwowe pieniądze oszczerczego obrazu Polski Ludowej i jej ludzi, gloryfikowaniu bandytów zwanych niezłomnymi, kwestionowaniu bohaterstwa żołnierzy polskich – ale też, nie bójmy się tego powiedzieć, radzieckich

– którzy wyzwolili Polskę spod okupacji hitlerowskiej. Krótko mówiąc: Karol Nawrocki nie jest bohaterem mojej bajki.

Co nie zmienia faktu, że wygrał wybory prezydenckie. Trzeba było zrobić lepszą kampanię, a przede wszystkim trzeba było lepiej rządzić – a jak się nie umiało, to trzeba uszanować demokratyczną wolę wyborców. Wszystkie te okrzyki na temat „weta marszałkowskiego" są niemądre i z natury swojej niedemokratyczne.

Co gorsza – twardzielstwo Czarzastego w konfrontacji z Amerykanami ma dość miękkie nogi. Począwszy od pierwszej odpowiedzi na szarżę ambasadora Toma Rose'a, który ogłosił, że ambasada USA zrywa wszelkie stosunki z marszałkiem sejmu RP.

„Zgodnie ze swoimi wartościami stanąłem w obronie polskich żołnierzy walczących na misjach" – odparował Czarzasty, sugerując, że jego twarde „nie" pod adresem apologetów Trumpa wynikło z trumpowej insynuacji, że żołnierze armii sprzymierzonych, w tym polscy, dekowali się na frontach amerykańskich wojen. Ja bym osobiście wolała, żeby wartości lidera lewicy, zamiast kazać mu stawać w obronie honoru polskiego munduru – kazały mu zapytać, co ten polski mundur tam robił. Dlaczego i po co polscy żołnierze ginęli na nielegalnych i niemoralnych wojnach napastniczych George'a W. Busha, prowadzących do podpalenia Bliskiego Wschodu – który płonie do dzisiaj – wymierzonych w kraje, które w żaden sposób USA nie zaatakowały ani im nie zagrażały?

Podjęcie przez Włodzimierza Czarzastego tej dyskusji zasługiwałoby na uznanie – a są co najmniej dwa powody, dla których mógłby to zrobić.

Pierwszy jest taki, że to okazja do uderzenia w Leszka Millera, który polskie wojsko do Iraku i Afganistanu wysłał. Jakoś tak mi się zdaje, że Włodzimierz Czarzasty nie jest ponad taką drobną satysfakcję.

Drugi zaś taki, iż wreszcie, po 36 latach ulegania jednostronnej proamerykańskiej propagandzie, rodacy zaczęli myśleć krytycznie o naszym Wielkim Bracie, co pokazują kolejne sondaże. 60 proc. Polaków ocenia działalność Trumpa negatywnie, 54 proc. nie uważa Ameryki pod jego wodzą za wiarygodnego sojusznika, tylko 15 proc. wierzy, że, w razie jak by co, przyjdzie nam z pomocą (prawie dwa razy więcej ufa sojusznikom z UE). W rankingu ulubionych narodów Polaków Amerykanie spadli z 2. na 11. miejsce. Krótko mówiąc – to jest czas, żeby podjąć dyskusję nad służalstwem wobec USA, które okazywały wszystkie po kolei rządy III RP.

I to jest absolutnie zadanie dla lidera lewicy – bo w oczach lewicy, na całym świecie, USA to imperium zła. Wszelkiego. Począwszy od historii obalania demokratycznie wybranych lewicowych rządów i instalowania faszystowskich, ale za to proamerykańskich dyktatorów – głównie w Ameryce Południowej; poprzez bezkrytyczne wspieranie Izraela, także w fazie otwartego ludobójstwa, kolonialne chamstwo, oszalałą militaryzację, narzucanie światu neoliberalnej filozofii, w której bogacenie się bogatych jest jedynym celem funkcjonowania państwa, terroryzowanie globu w interesie amerykańskiego kapitału aż po wewnętrzny ustrój USA – najbogatszego państwa w historii świata, którego nie stać na powszechną opiekę zdrowotną. Dla człowieka lewicy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest tylko jeden element wart uznania – i to są ci, którzy chcą ten system obalić: Bernie Sanders, Zohran Mamdani czy Alexandria Ocasio-Cortez.

A co na to wszystko Włodzimierz Czarzasty?

„Naród amerykański jest wielką sprawą dla Polaków. Ameryka jest wielką sprawą dla Polaków. Absolutnie to akceptuję i absolutnie to rozumiem. Ameryka jest naszym największym sojusznikiem. Absolutnie to akceptuję i absolutnie to rozumiem. Chcę bardzo bliskiej współpracy Polski i Ameryki"…

Nie wiem, jak Państwa, ale mnie nieco zemdliło.

Tym niemniej, tak z ręką na sercu: czy wyobrażacie sobie jakiekolwiek innego członka elit rządzących III RP przez ostatnie 36 lat, który oficjalnie ogłosiłby, że Lider Wolnego Świata nie zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla? Czy też jakąkolwiek inną nagrodę, którą miałby ochotę dostać?

Za to Czarzastemu – niezależnie od motywacji – należy się szacun. Przynajmniej mój.

Co piszę z głęboką frustracją.

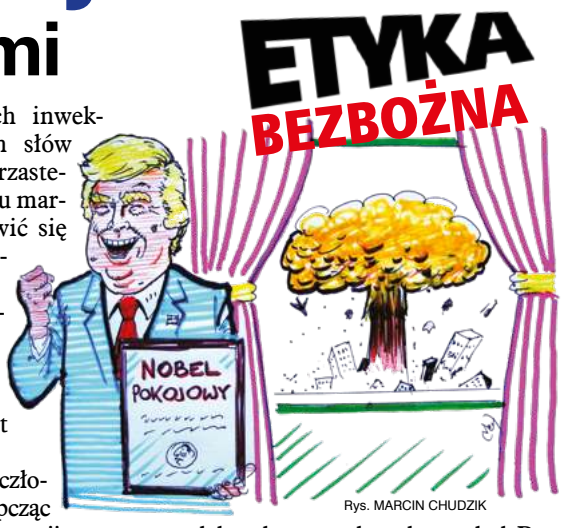
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Bezczelność w jarmułce

Między nami Żydami

Bardzo nie lubię, jak jakiś mój ziomek zachowuje się jak burak na chłopskim wozie, czyli podskakuje i się turla. Bo ludzie już wystarczająco nie lubią Żydów, żeby im jeszcze dawać preteksty do rozwijania swoich idiosynkrazji. Tymczasem niejaki Tom Rose, czyli po naszemu Tomek Różański, robiący za ambasadora USA w Polsce, pozwolił sobie na bezczelne połajanki w stosunku do marszałka sejmu Włodzimierza Czarzastego oraz premiera Donalda Tuska. To jest tak absurdalne i niesłychane, że na pewno „przypadek Toma Rose'a" zapisze się w annałach historii światowej dyplomacji jako kuriozum ilustrujące polityczny i dyplomatyczny upadek Ameryki, a także bezprzykładne wazeliniarstwo dworaków Donalda Trumpa, do których nasz starozakonny dyplomatołek się zalicza.

Jak pamiętamy, Włodzimierz Czarzasty wygłosił niedawno zgrabne przemówienie, w którym tłumaczy jak komu dobremu, że nie będzie brał udziału w zabiegach Izby Reprezentantów USA o przyznanie Trumpowi Nagrody Nobla, bo Trump nie stroni od używania siły i traktuje politykę „transakcyjnie". Nie mógł powiedzieć nic innego, a i tak wyraził się oględnie. Było to dobre przemówienie. Na to Rose – wielkie panisko! – zareagował pełnym wzburzenia wpisem na Muskowym Iksie, że oto „my", to jest jego ambasada, a może nawet i całe Stany Zjednoczone, zrywamy wszelkie kontakty z marszałkiem sejmu, albowiem w sposób oburzający obraził on prezydenta Trumpa.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Rzecz jasna, żadnych inwektyw ani obraźliwych słów w przemówieniu Czarzastego nie było – po prostu marszałek śmiał sprzeciwić się naszym panom, reprezentowanym przez zarządcę amerykańskiego folwarku o nazwie „Rzeczpospolita Polska", którym we własnym pojęciu jest zapewne pan Rose.

Nie wiem, co ten człowiek ma w głowie, depcząc wszelkie zasady dyplomacji, do których należy nie tylko grzeczność i powściągliwość, lecz również zręczność w obcowaniu z zagranicznymi przeciwnikami politycznymi – lecz o swoim zawodzie i sensie sprawowanej przez siebie funkcji w każdym razie nie ma pojęcia. Zachował się tak idiotycznie i sprzecznie z zasadami dyplomacji, że nawet premier uznał za stosowne to skomentować. A skomentował słowami następującymi (na tymże X): „Panie Ambasadorze, sojusznicy powinni szanować się wzajemnie, a nie pouczać. Przynajmniej my, w Polsce, tak pojmujemy partnerstwo". I zamiast się zamknąć lub wycofać, ten cham odpyskował mu tymi słowy: „Szanowny Panie Premierze, jak sądzę Pańska mądra i wymowna uwaga została skierowana do mnie przez pomyłkę, bo z pewnością miał Pan zamiar przesłać ją marszałkowi sejmu, Włodzimierzowi Czarzastemu, którego podłe, obraźliwe komentarze"… No po prostu pysk rozdziawił jak jaki handlarz śledziami z Nalewek. Wstyd mi za niego, tak jak wstyd byłoby mi, gdyby akurat ambasadorem był Polak z Greenpointu. Bo że kompromituje USA, to po wszystkich odpałach Trumpa i w świetle afery Epsteina nie ma to już znaczenia. Ameryka upadła i zaryła nosem w moralne błoto, a podniesienie się do pozycji klęczącej, a potem ewentualnie stojącej, zajmie jej całe dekady.

Ameryka jest groźna, ale jednocześnie komiczna. Sam Trump natomiast jest jedynie godną pożałowania personifikacją tej pseudokonserwatywnej patologii, która przez dwa stulecia wzrastała w tym państwie na surowym korzeniu pionierskiego bezprawia i purytańskiego radykalizmu. To musiało kiedyś się tak skończyć. Ale że to będzie groteska odegrana przez patologicznego i żałosnego bufona, tego przewidzieć się nie dało. Doprawdy jest czymś niepojętym, że ktoś może być aż tak pozbawiony honoru i powagi, aby domagać się dla siebie jakiejś nagrody, a już zwłaszcza pokojowego Nobla. A jeszcze bardziej niepojęte jest to, że tysiące służalczych karierowiczów udają, że jest to najnormalniejsza rzecz pod słońcem i w dodatku całkiem słuszna, przez co z całą powagą angażują się w to wymuszanie na grupce oniemiałych z pewnością Norwegów, aby dali, co się należy, temu, któremu się należy.

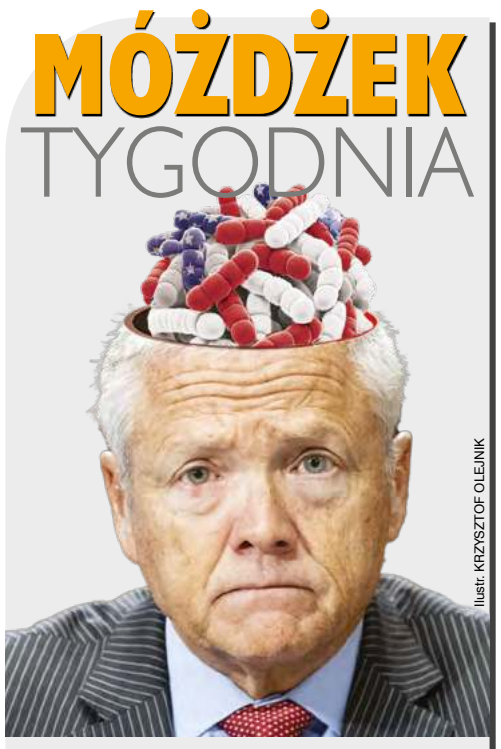
Sam pomysł, aby w imieniu parlamentu pisać do szefa parlamentu obcego państwa, żeby przyłączył się do akcji lobbowania na rzecz „słońca narodu", jest istnym kuriozum. Czy rebe Rose naprawdę nie dostrzega żałosnej żenady całej tej sytuacji? Czy nie rozumie, że nawet jeśli postrzega Polskę jako kraj wasalny wobec USA, to musi udawać, że wcale tak nie jest? Doprawdy, nawet sowieccy ambasadorowie tak się nie panoszyli. O tempora, o mores!

I ja panu powiem, Panie Rożański, bo panu to wsadzą do raportu, co tu o panu napisane, w tym komunistycznym „NIE". Więc ja panu tak powiem: pan weź swoje manatki i pan wsiadaj w aeroplan i wracaj tam, skąd pan przyszedł.

I powiedz pan temu swojemu stukniętemu szefowi, że Polska to wolny kraj i nie można nim poniewierać, a jak się Ameryce służba polskich żołnierzy na misjach NATO nie podoba, to więcej ich nie zobaczy. I daj pan cynk tam na urząd imigracyjny, żeby mnie nie wpuszczali – nie dbam o to, bo się do takiej Ameryki, jaka ona jest teraz, wcale nie wybieram.

JAN HARTMAN

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rose w tłumaczeniu na polski znaczy róża – taki kwiatek. Róża to jednak również choroba. Nie śmiertelna, ale groźna, atakująca czasem porządnych ludzi nagle i perfidnie. Wywołują ją paciorkowce, bakterie tyleż powszechne, ile znane ze zjadliwości i podstępności. Szczepy tej bakterii są przyczyną innych schorzeń, takich jak zapalenie węzłów chłonnych, liszajec, infekcja naczyń limfatycznych, płonica, zespół wstrząsu toksycznego oraz martwicze zapalenie powięzi.

Róża to wredna choroba, wykorzystująca swoją pozorną przewagę, pokazująca iluzoryczną siłę i zapowiadająca zniszczenie zaatakowanego organizmu. Porządnym ludziom nie wolno jej odpuszczać, powinni zwalczać ją konsekwentnie i do końca. Antybiotykami, ale również dumą i godnością.

W ostatnim znanym przypadku nazwie Rose towarzyszy imię Tom. Ono z kolei może po polsku znaczyć Tomek, zdrobnienie Tomasza, lecz także samiec, frajer i kretyn.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 2917610fcc

Bezbożnik Braun

Jak zgasić Front Jedności Gaśnicowej?

Nie wiemy jeszcze, ile patriotycznych złotówek wydało kierownictwo PiS na robotę doradców od plugawienia. Zatrudnionych do zdyskredytowania eurodeputowanego Grzegorza Brauna i jego Frontu Jedności Gaśnicowej.

Zapewne kroplą, która wypełniła kielich sączonej przez Brauna politycznej goryczy, była jego niedawna medialna deklaracja. Stwierdzenie, iż „wyniki wyborów prezydenckich świadczą o tym, że zdefiniował się szeroki front gaśnicowy, który idzie odzyskać niepodległość". I sugestia, że niebawem sondaże wyborcze jego Korony Konfederacji Polskiej poszybują ponad 10 proc.

Dlatego kaczystowscy mózgowcy już przestrzegają, że w perspektywie wyborów 2027 r. „przylgnięcie do Brauna może być trampoliną do parlamentu". Tak jak kiedyś różni ludzie przylegali do Leppera, Palikota, Kukiza, Hołowni.

Wyborczy wynik powyżej 10 proc. gwarantuje gaśnicowym Brauna solidną reprezentację w sejmie. Być może decydującą o niezbędnej do rządzenia większości parlamentarnej. Dlatego elity PiS rozpoczęły akcję gaszenia płomienia ich popularności.

Splugawić plugawców

Wydawałoby się, że plugawienie polityka zajmującego się plugawieniem wszystkiego, co się nawinie, to wyjątkowa łatwizna.

Problem w tym, że antysystemowy eurodeputowany Braun czerpie swą popularność z krytyk czynionych mu przez wszelkie systemowe instytucje. A jego Front Jedności Gaśnicowej to konfederacja plugawców wszelkiej maści. Plugawiących także wrogów i przeciwników PiS. Jak choćby podstępnych Niemców, niewdzięcznych, roszczeniowych Ukraińców, światowe i krajowe lewactwo, neomarksizm, totalitarne zbrodnicze rządy Tuska. Plugawiących zgodnie z pisowskimi strategiami wyborczymi i aktualnymi przekazami dnia kreowanymi przez kierownictwo partii i obowiązującymi wszystkich polityków Zjednoczonej Prawicy.

Nie można też gromko plugawić Brauna i jego FJG za antysemityzm, prorosyjskość, prochińskość czy niechęć do aroganckiego ambasadora USA. Bo wielu wyborców Zjednoczonej Prawicy ma podobne braunowcom sympatie. Zwłaszcza w czasie, kiedy popularność prezesa Kaczyńskiego i jego partii spada.

Nie dziwmy się zatem, że na widok tonącego politycznie prezesa wynajęci spin doktorzy chwycili się byłego premiera Leszka Millera. I w kaczystowskim tygodniku „Sieci" przestrzegają: „do Brauna smali cholewki pezetpeerowiec Leszek Miller, a Braun zdaje się odwzajemniać uczucia byłego premiera". Ale

wizja powrotu Leszka Millera do władzy to za mało, by ostatecznie pognębić Brauna. Dlatego „Sieci" przypominają też, że lider Korony „całkiem oficjalnie" i „z pełną powagą" zaprosił na senacką listę w przyszłych wyborach Monikę Jaruzelską.

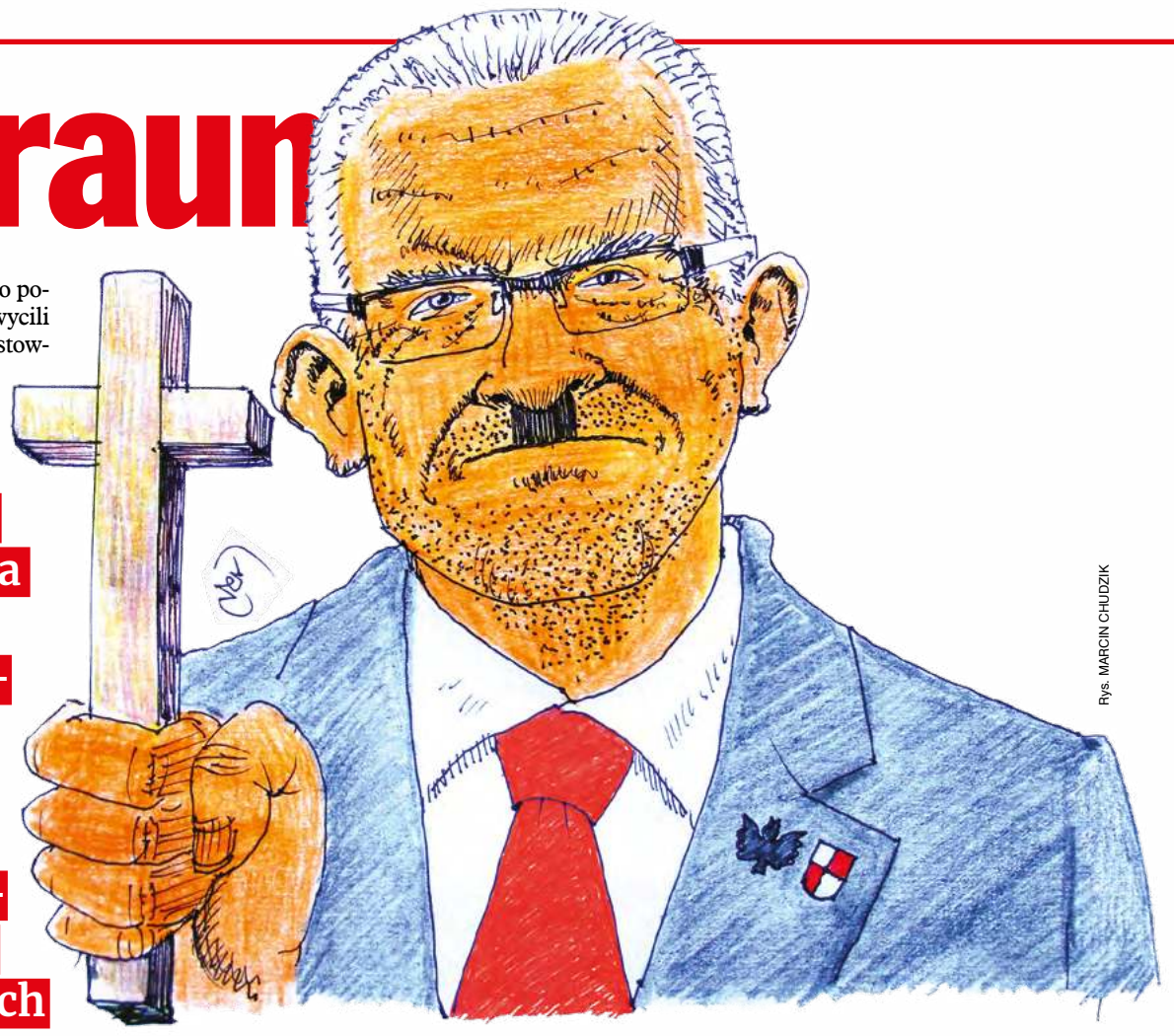
Aby nie było wątpliwości, kim jest owa parszywa Monika, „Sieci" wyjaśniają. To „córka, co najmniej politycznie, odpowiedzialnego za mordowanie księży dyktatora, ateistka i zwolenniczka liberalizacji ustawy antyaborcyjnej".

I drwiąco Brauna pytają: „Czy to efekt objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie?". I zaraz potem pytają już wszystkich Polaków-katolików arcypoważnie: „Jak to się ma z zawołaniem *Ad maiorem Dei gloriam*?"

Tu trzeba przypomnieć, że *Ad maiorem Dei gloriam* to łacińska dewiza oznaczająca „Na większą chwałę Bożą". Zakonu jezuitów, sformułowana przez św. Ignacego Loyolę, która wyraża dążenie do doskonałości i służby Bogu we wszystkich działaniach. Takim zawołaniem posiłkuje się teraz na co dzień euroeputowany Braun, wabiąc nim miliony Polaków katolików.

W Bogu nadzieja

Ale Leszek Miller i Monika Jaruzelska to na tle innych aktywistów Frontu Jedności Gaśnicowej „potencjalni święci" – ironizują „Sieci". Bo do okrętu Brauna przykleiło się szambo: „prasłowiańska puszcza, świat New Age, gnozy i satanistów".



Rys. MARCIN CHUDZIK

Chociażby taki Wojciech Olszański, ksywka Jaszczur, lider Rodaków Kamratów. Ten przebrany w „operetkowy mundur" lider „polskiego patostreamingu" stale „wrzeszczy i grozi". Wspiera go pomagier Marcin Osadowski.

Niestety, ów „Jaszczur" jest też „idolem wielu setek tysięcy odbiorców". To sprawiło, że Braun uznał i obwieścił, iż Kamraci są „integralną częścią ruchu gaśnicowego". Dlatego podczas białostockiego marszu Korony „Polska za pokojem" wszyscy oni wspólnie modlili się i śpiewali „Rotę".

Chociaż jeszcze niedawno tenże „Jaszczur" na YouTubie wrzeszczał: „Sram na Biblię, kurwa, bo jest żydowskim gównem, pierdolę ją i, kurwa, wysram się na nią, bo jest sfałszowanym dokumentem! Żydowskie rzygowiny to są!".

Co prawda w późniejszym nagraniu potencjalny parlamentarny kolega „towarzyszki panienki" wyjaśnił, że sra, ale tylko na Stary Testament. Na Nowy jeszcze nie. Ale też dodał, że pierdoli przykazanie „Miłujcie nieprzyjacioły swoje", bo jest ono „pierdoleniem żydowskim, nikt nie słyszał z ust Jezusa Chrystusa takiego tekstu, nigdy, to zostało mu przypisane".

Kaczystowskie „Sieci" zauważają też, że „na ramieniu mundurka Olszańskiego pyszni się słowiańska swastyka, a logotypy i pieczęcie ruchu kamrackiego zdobią pogańskie »ręce boga« oraz słowiański toporzeł".

I grzmią z oburzenia, że zwolennicy frontu gaśnicowego są bardzo aktywni w internecie. Życzą sobie pogańskich „Szczodrych godów", narzekają na „długie macki Watykanu" i wyśmiewają „katabasów", czyli księży katolickich.

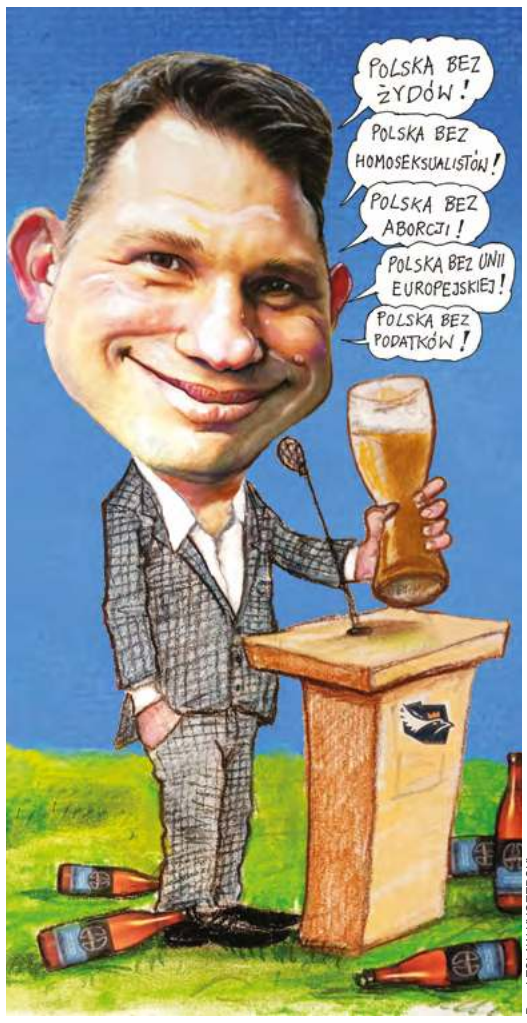
Braunowców aktywnie wspiera znany poganin, lider Wspólnoty Rodzimowierców „Watra", autor „Modlitw słowiańskich" Rafał Meterski.

Wspiera ich też wielce aktywny satanista Marcin Różalski. Kiedyś bokser KSW, dziś reklamujący się w internecie jako „Satanista o gołębim sercu". Ten groźnie wyglądający facet, cały pokryty tatuażami, tak prezentuje credo swojej wiary: „Kto to jest satanista? Satanista to poganin, ktoś, kto nie idzie w dogmatach katolickich". I wszystkim rekomenduje „mądrą książkę, nie jakąś zakłamaną, napisaną przez jakiegoś cymbała, chrześcijanina, tylko normalną książkę. Polecam »Biblię Szatana« De laVeya".

Chiny, lewactwo i grzybki halucypki

Na deser kaczystowscy propagandziści ujawniają, że do Brauna przykleił się też Mateusz Piskorski. A ten Piskorski to nie tylko „wielbiciel Putina", kojarzony „przede wszystkim z procesu o szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin". To też gość, który popierał lewaka Piotra Ikonowicza na rzecznika praw obywatelskich. Potem zakładał promoskiewską partię

Konfiarze i konfetki



Rys. LESŁAW KUCZERSKI

Wolnorynkowa utopia dla słabych umysłów

Państwo dla wszystkich i dla każdego ogranicza wolność w jednej dziedzinie, żeby poszerzyć ją w innych. Lewica powinna to tłumaczyć – ale nie umie. Ta nieumiejętność może przynieść opłakane skutki. Nam wszystkim.

Podczas kryzysu wolnorynkowego kapitalizmu lat 30. rozczarowani jego niewydolnością wybrali autorytarną prawicę. Współczesny kapitalizm taniej pracy i szczątkowego państwa socjalnego zrodził podobny fenomen. W USA, w Europie, w Ameryce Południowej rozczarowane wyczynowym kapitalizmem klasy pracownicze zasilają prawicę. W Polsce przechodzą na stronę całej tej narodowo-ksenofobicznej menażerii: od pseudoludowego PiS do ultraliberalnej Konfederacji.

Rej wodzi teraz tiktokowy Sławomir. To Janusz biznesu, zręczny marketingowo kuglarz, talib wolnego rynku i mentzennik regulacji. Jego recepta to więcej kapitalizmu w kapitalizmie. Co gorsza, wiedzie młodych na pokuszenie biznesowej kariery w polskim peryferyjnym kapitalizmie. Ale drogą przedsiębiorcy do bogactwa i władzy może dojść dwóch, trzech na stu powołanych. Co z resztą i co dalej z państwem jako organizatorem usług publicznych w dobrze funkcjonującej wspólnocie życia i pracy?

Darwinowską koncepcję walki o byt najsilniejszych zainspirował angielski filozof i socjolog Herbert Spencer. Był zajadłym zwolennikiem wolnej, nieskrępowanej żadnymi normami przedsiębiorczości. Jego bajkę o wolnym rynku przekształciła w popularną doktrynę austriacka szkoła ekonomii (L. von Mises, F.A. von Hayek). I to ona inspiruje konfiarzy i konfetki-szczebiotki. Potrafią recytować z pamięci całą ich księgę mądrości.

Tu nie ma społeczeństwa. Są produkujące i konsumujące jednostki. Mają one zdolność podejmowania autonomicznych wyborów, co i jak produkować oraz co i kiedy konsumować. Człowiek dążący do sukcesu działa w warunkach konkurencji z innymi. Konkurencja ta rodzi niepewność i nieprzewidywalność skutków. Rodzi tym samym ryzyko, ale też i nowe szanse zysku. Radzenie sobie z nim to istota przedsiębiorczości. Za błędne decyzje płaci się bankructwem.

W przeciwieństwie do odważnych przedsiębiorców i inwestorów firmy publiczne nie bankrutują, mają też miękkie ograniczenia budżetowe. Dlatego działają mniej efektywnie, wręcz szkodzą pozostałym uczestnikom rynku. Szkodzi zwłaszcza państwo. Może ono tylko zaburzać spontaniczny ład. Ten zaś tworzy równowagę między zasobami a potrzebami jednostek. I tylko te warunki zapewniają efektywną alokację społecznych zasobów, tym samym dobrobyt dla ubogich duchem. W dziełach Spencera nie ma taniej pracy, tanich surowców, taniej ziemi ludów kolonizowanych. Pomińmy więc imperializm, szubienice dla niepokornych żeglarzy i niewolników, eksploatację peryferii i przyrody…

granice wolnej przedsiębiorczości się kurczyły, choć biznes zawsze stawiał zaciekły opór. Najpierw długo bronił „swobody zawierania umów" z pracownikami. Swobodę tę ograniczyło w 1819 r. państwo angielskie, zabroniło bowiem zatrudniania dzieci poniżej dziewięciu lat.

Jeśli spojrzymy na przeszłość gospodarki kapitalistycznej, to

Trochę starszym ograniczało pracę do 12 godzin dziennie.

Później obrońców wolności oburzał zakaz handlu ludźmi, bronią, narkotykami, nawet ludzkimi organami. Za to nie oburzało angielskich pionierów wolnego rynku zmuszanie społeczeństwa chińskiego do „konsumpcji" opium. W inny sposób nie potrafili zrównoważyć bilansu handlu herbatą – tak wówczas popularną używką, zwłaszcza o piątej po południu.

Do dziś oburzają ich licencje konieczne do tego, by wykonywać zawody zaufania społecznego: lekarzy, prawników, bankowców. Do histerii doprowadza ich płaca minimalna, przepisy zawierania i rozwiązywania umowy o pracę.

Wolną przedsiębiorczość ubezpieczają finansowane przez nich pseudonaukowe think tanki, jak Cato Institute czy Fraser Institute. W Polsce różne „obywatelskie" centra myśli wolnej od społecznych realiów: Warsaw Enterprise Institute, Centrum im. Adama Smitha, i dziesiątki podobnych wydmuszek. Składają one donosy na państwo, które utrudnia *doing business*.

Państwa robią to w imię ochrony pracy, jakości życia, homeostazy planety. Ale kiedy nałożą one nawet skromne ograniczenia na wolną przedsię-

eprasa.pl 2917610fcc

Piskorski to zakamuflowany radykalny poganin. Gagatek, który współtworzył pogańskie Stowarzyszenie „Niklot”, wydawał pismo „Odala”.

A odala to starogermańska runa, używana jako symbol także przez SS.

Tenże Piskorski kreował ruch Lechitów. I pogańskich bogów: Słońca, Wszechświata i Matki Ziemi.

Reklamował też na swych koszulkach zespół muzyczny Nurzum. Jego lider Varg Vikernes został skazany na 21 lat więzienia za zabójstwo i podpalenie trzech kościołów w Norwegii.

Poza tym Piskorski był też przez jedną kadencję posłem wybranym z listy Samoobrony. Rzecznikiem prasowym tego ugrupowania. Wtedy jego Samoobrona była w koalicji z PiS prezesa Kaczyńskiego. Nie pamiętam, by pogaństwo Piskorskiego przeszkadzało wtedy panu prezesowi.

Wśród gaśnicowych Brauna kaczystowskie „Sieci”wyłapały też aktywistów antykatolickich ruchów New Age, kapłanów gnozy, płaskoziemców i wielu szamanów zachęcających do spożywania „wywołujących trans muchomorów”.

Te muchomory mogą rozwiązać powszechny wśród polskich politologów problem niejasnych powodów działania i zachowania się eurodeputowanego Brauna.

Aby podsumować faktyczne pogaństwo braunowskiego Frontu Jedności Gaśnicowej analitycy „Sieci” ujawniają, że wedle badań CBOS aż 30 proc. zdeklarowanych wyborców Korony Brauna w ogóle nie uczestniczy w chrześcijańskich praktykach religijnych. A 21 proc. czyni to jedynie kilka raz w roku.

Dla porównania tylko 10 proc.wyborców PiS nie uczestniczy w podobnych praktykach, a 19 proc. czyni to kilka razy w roku.

Milczenie pasterzy

Tonący PiS chwyta się pomocy polskiego Kościoła kat. Nadziei, że polscy biskupi masowo i gromko odetną się od „pogańskiego” Brauna.

Może nawet będzie interweniował amerykański papież Leon XIV, skoro pan ambasador USA już do antysemity Brauna pana prezesa zniechęcał.

Ale teraz polscy katoliccy biskupi taktycznie milczą. I nie wierzę, że skutecznie politycznie i religijnie wyklną „pogan” Brauna w czasie kampanii wyborczej.

Może dlatego, że polscy biskupi też są antysemitami, anty-Ukraińcami, anty-Niemcami, antyszczepionkowcami. Czują się też antysystemowcami, bo przecież nie cierpią tego premiera Tuska i jego lewicowej koalicji bardziej niż tradycyjnego pogaństwa.

Zatem przygotujcie się już dziś na nowy skład sejmu. Z wielce aktywnymi braunowcami. Będą tam noce Kupały, czakary, druidyzm, rdzenne duchowości, msze trydenckie i czarne. Na Wersal nawet nadziei nie będzie.

A wszystko to grzybkami doprawione.

PIOTR GADZINOWSKI

Hipokryzja świeckości

Deklaracje Żurka o przechodzeniu na świecką stronę mocy są zabawne.



Rys. WIDGET

Przed laty Dorota Rabczewska, znana jako Doda, odpowiedziała na proste pytanie dziennikarza: „W co wierzysz?”. Jej słowa – „bardziej wierzę w naukę niż w pisma kogoś napitego winem i palącego jakieś zioła” – padły jak iskra na ściernisko. I zapłonęło. Wtedy sądy w Polsce uznały, że słowa piosenkarki to obraza uczuć religijnych. I zgodnie z artykułem 196 kodeksu karnego ukarano ją grzywną. Dziś zaś państwo, które przed Strasburgiem musi tłumaczyć się z własnego zamiłowania do penalizacji słów, w końcu zgodziło się na coś w rodzaju retuszu. Nie rezygnację. Nie dekryminalizację. Nie akt odwagi legislacyjnej. Retusz.

Kraty podstawowych wartości

„To tylko korekta katalogu kar” – mówił Waldemar Żurek, tłumacząc, dlaczego państwo nie wyrzuca całego artykułu 196 do kosza, tylko łagodnie odcina jego ostrze. Kara pozbawienia wolności ma zniknąć, pozostaną grzywna i ograniczenie wolności. Taki jest projekt, który resort wypluł z siebie.

Bo władza szuka równowagi między wolnością słowa a ochroną uczuć religijnych. Państwo z jednej strony chce być wierne standardom europejskim i „wywiązać się z obowiązków wynikających z Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności”, z drugiej – nie potrafi albo nie chce przyznać, że samo istnienie takiego przepisu w kodeksie karnym to kuriozum, które służy głównie temu, by religię czynić narzędziem politycznego nacisku.

„Polska absolutnie nie rezygnuje z ochrony uczuć religijnych” – stoi w komunikacie Ministerstwa Sprawiedliwości. Słowa, które równie dobrze mogłyby paść z ust pisowca, konfederaty jednego lub drugiego, lub hierarchy kościelnego, który uważa, że wolność słowa powinna ustąpić przed świętością symboli.

Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu w sprawie Rabczewska przeciwko Polsce wyraźnie wskazał, że skazanie za słowa, które nie stanowiły ani mowy nienawiści, ani nie zagrażały porządkowi publicznemu, było nieproporcjonalne. To naruszenie artykułu 10 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności.

Ale w Warszawie, gdy politycy mówią o „wolności słowa”, mają na myśli raczej wolność do mówienia tego, co „poprawne” i akceptowalne dla określonych grup. Kiedy zaś mówią o „ochronie uczuć religijnych”, wiążą to z wartością nienaruszalną, której nie można mierzyć żadną miarą. Państwo, które chce się chlubić dostosowywaniem prawa do standardów Konwencji, jednocześnie upiera się przy zachowaniu paragrafu, który w praktyce służy represji.

W wielu państwach europejskich przepisy o obrazie uczuć religijnych już dawno zniknęły z kodeksów i jakoś nie upadły tam ani religia, ani demokracja. W Polsce jednak artykuł o obrazie uczuć religijnych działa jak drogowskaz mówiący, że z religią się nie zadziera. Przypomina, że religia stoi ponad krytyką.

Od chomika do śmietnika

Nie minęła jeszcze euforia po deklaracji Żurka, że nikt już nie pójdzie do więzienia za słowa nieprzyjemne Kościołowi, a już państwo zwinęło się w kulkę pod presją krzyża w koszu. Tego wiszącego nad chomikiem, wrzuconego do kosza przez nauczycielkę języka angielskiego w szkole w Kielnie. Reakcja państwa była natychmiastowa, jednoznaczna i paniczna.

Wójt Ryszard Kalkowski nie czekał ani dnia. Złożył doniesienie do Prokuratury Rejonowej w Wejherowie. Krzyż – jako dowód rzeczowy – został zabezpieczony przez policję. Szkoła zapewniła pomoc psychologiczną uczniom, którzy nader ucierpieli w wyniku tej dramatycznej sytuacji. Rodzice również mogli skorzystać z tej formy terapii. To nie żart. Państwo, które teoretycznie miało właśnie wykonać symboliczny krok w stronę świeckości, uruchomiło cały aparat represyjno-terapeutyczny, by ukoić traumę wywołaną obecnością symbolu religijnego w śmietniku.

Minister edukacji Barbara Nowacka zapewniała: „To błąd, który nie powinien mieć miejsca w szkole”. I dodawała, że nauczyciele mają obowiązek „pokazywania dzieciakom wartości i dbałości o wartość i o szacunek”.

Waldemar Żurek też dał głos: „Jeżeli coś takiego miało miejsce, to właśnie ten przepis zadziała w praktyce, jeżeli ta pani zostanie skazana. Nie musi dostawać kary pozbawienia wolności, ale będzie osobą odnotowaną w rejestrze, zapłaci grzywnę. Ona nie znajdzie już miejsca pracy w wielu instytucjach publicznych”.

Czyli jak to jest? Kiedy Europejski Trybunał Praw Człowieka mówi, że przepis o obrazie uczuć religijnych narusza wolność słowa, Polska kłania się i zapowiada zmiany. Ale kiedy krzyż rzekomo trafia do kosza, nauczycielce grozi zawodowy niebyt, a krzyż dostaje ochronę jak flaga czy hymn.

To nie jest tylko reakcja przesadzona. To reakcja demaskująca. Pokazująca, gdzie kończy się konstytucyjna świeckość państwa, a zaczyna instynktowne klękanie przed krzyżem.

Zamiast spokojnego, rzeczowego wyjaśnienia sprawy, prokurator, rzecznik dyscyplinarny, kurator, wójt i ministerstwo rzucają się jak jeden mąż do akcji ratunkowej. Nie po to, by chronić uczniów, ale by chronić kawałek plastiku.

Pomorski kurator Grzegorz Kryger, apelując o spokój, mówił: „Najważniejsze, żebyśmy zadbali o dobro tych, którzy są w tej sytuacji najważniejsi, czyli o uczniów.” I chwali szkołę za to, że „wyprzedza działania”. Takie jak pomoc psychologiczna. Dla dzieci, które widziały pusty gwóźdź nad chomikiem.

Sytuacja staje się farsą, ale nie dla nauczycielki – ta pewnie przeżywała właśnie najtrudniejszy moment w swojej karierze. Farsą dla instytucji państwowych, które pokazały, że świeckość jest dla nich dekoracją. Deklaracją bez pokrycia. W sytuacjach granicznych – a takim najwyraźniej stał się krzyż w śmietniku – natychmiast cofają się do pozycji: „religia jest świętością, kto jej dotknie, będzie potępiony”.

W całej tej historii nikt nie zapytał, czy krzyż w publicznej szkole ma w ogóle prawo wisieć. Nikt nie zastanowił się, czy nauczycielka – jeśli rzeczywiście uznała, że symbol religijny w klasie łamie zasadę neutralności światopoglądowej – nie postąpiła właśnie zgodnie z konstytucją. Wszystkich interesowało, czy dotknęła krzyża i czy rzeczywiście wyrzuciła go do kosza. Państwo zgodziło się poświęcić człowieka dla świętego spokoju rozumianego jako spokój Kościoła.

Na stos?

Żeby tylko krzyż z kosza w Kielnie… O potwornej obrazie uczuć religijnych zrobiło się przecież głośno, gdy w Bolesławcu ktoś powiesił laleczkę Dzieciątka Jezus na sznurze w publicznej przestrzeni. Zdjęcia tej sceny obiegły media i wzburzyły część opinii publicznej, która od razu zaczęła domagać się reakcji służb. Lokalne media pisały o „Dzieciątku Jezus, które wyglądało jak wisielec” i o sprawie „bulwersującej całe środowisko”. Sam fakt, iż śledztwo w tej sprawie zostało wszczęte i wzbudziło taką reakcję, mówi więcej o stanie debaty publicznej niż niejeden eseista. Dopiero potem postępowanie zostało umorzone, bo figurka nie okazała się przedmiotem faktycznej czci religijnej, a sprawa w oczywisty sposób wymykała się kwalifikacji prawnej.

A co powiedzieć o przypadku z Nowego Tomyśla, gdzie 43-letni mężczyzna został zatrzymany i usłyszał zarzut z art. 196 kk za załatwienie potrzeby fizjologicznej w konfesjonale w kościele? Według komunikatu policji „mężczyzna wszedł na teren świątyni pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa i – będąc pod wyraźnym wpływem alkoholu – wypróżnił się w jednym z konfesjonałów oraz na posadzkę korytarza”. Policja przyjęła sprawę z całą powagą, podkreślając, że miejsca kultu religijnego są objęte szczególną ochroną i że takie zachowania „spotykają się ze stanowczą reakcją organów ścigania”.

A trzej turyści, którzy wspięli się na krzyż na Giewoncie? Mieli siedzieć na stalowej konstrukcji, wygłupiać się i głośno przeklinać, co – według policji – mogło naruszyć „uczucia religijne innych osób”. Czy wspinanie się na krzyż naprawdę jest profanacją? A jeśli nawet, to czy w państwie świeckim policja powinna stawiać zarzuty kryminalne na podstawie subiektywnych odczuć religijnych tłumu?

Najzabawniejsze, że gdy minister sprawiedliwości mówi, że chce złagodzić kary za obrazę uczuć religijnych, to i tak wie, że do tego nie dojdzie. Bo choćby nawet rząd chciał naprawdę usunąć możliwość kary więzienia za obrazę uczuć religijnych – dziś grozi ona w wymiarze nawet do dwóch lat pozbawienia wolności – twierdząc, że to „wyważenie wolności słowa i ochrony uczuć religijnych” i dostosowanie polskiego prawa do standardów europejskich, to na końcu tego procesu jest prezydent Nawrocki. A on nie podpisze.

Dlatego zamiast cieszyć się z proświeckich enuncjacji Żurka, może pora zacząć się bać, co się stanie z art. 196, gdyby do władzy doszli ludzie ze „szczęść Boże” na ustach. Gdy za obrazę uczuć religijnych będzie się po staropolsku łamać kołem albo palić na stosie.

TOMASZ BOROWIECKI

biorczość, stają się „socjalistyczne”. W języku fundamentalistów rynkowych to etykieta wroga nr 1.

Jak stwierdza demaskator wolnorynkowej mitologii, koreańsko-angielski ekonomista Ha-Joon Chang, „historia kapitalizmu to w istocie ciągła walka o granice rynku”. Dlatego nauka ekonomii to w 95 proc. tzw. zdrowy rozsądek, podpowiadający, jak osiągać zysk. Nie przypadkiem bankierzy szwedzcy przyozdobili ją dla niepoznaki tzw. ekonomicznym Noblem.

Problem realny – zdaniem Mentzena i jego wyznawców – występuje pod nazwą paternalizmu.

Czy państwo ogranicza wolność?

Kiedy monopolizuje edukację dzieci i młodzieży – czy nie ogranicza to wolności zamożnych rodziców, którzy nie mogą posyłać przyszłych Rafałów biznesu do prywatnej, lepszej szkoły?

Owszem – powinna odpowiedzieć lewica – ale w ten sposób poszerza wolność wszystkich innych rodziców.

W społeczeństwie, gdzie poziom edukacji jest najwyższy na świecie, tj. w Finlandii, nie ma prywatnych szkół. Dlaczego? Bo tam, gdzie władze lokalne współfinansują edukację, mogą pojawić się szkoły lepsze i gorsze – są bowiem gminy uboższe i bogatsze. Wówczas rodzice, którzy nie mogą posłać dziecka do lepszej prywatnej szkoły, będą zabiegać o to, żeby podnieść poziom nauczania w publicznej. Dzięki temu w systemie publicznym pozostają i zdolne dzieci, i rodzice troszczący się o jakość ich nauczania. Jaka jest alternatywa? Jak pisze krytyk balcerowiczowskiej transformacji Ursusa w Factory, ekonomista keynesowski Tadeusz Kowalik: „większy zakres wyboru dla dzieci (i ich rodziców) stwarzany przez szkoły prywatne, został okupiony przez zubożenie szkół państwowych (publicznych), wraz z tym i wolności wyboru ich uczniów”.

Inny przykład: dlaczego ci przedsiębiorczy mają być przymuszani do oszczędzania na przyszłość w ZUS-ie, a nie w prywatnych funduszach emerytalnych?

Ale co z tymi, którzy nie przewidzieli, że kiedyś dochody płacowe ustaną? Siądą z kapeluszem na rogu ulicy przed biurem podatkowym Mentzena? Może lepiej zmusić ich, żeby część dochodów z pracy przeznaczali systematycznie na zabezpieczenie starości? Czyli – mogłaby tłumaczyć lewica – państwo ogranicza ich wolność dysponowani swoimi zarobkami teraz, żeby mieli swobodę ich wydawania, kiedy już nie będą zdolni do codziennego zapierdolu.

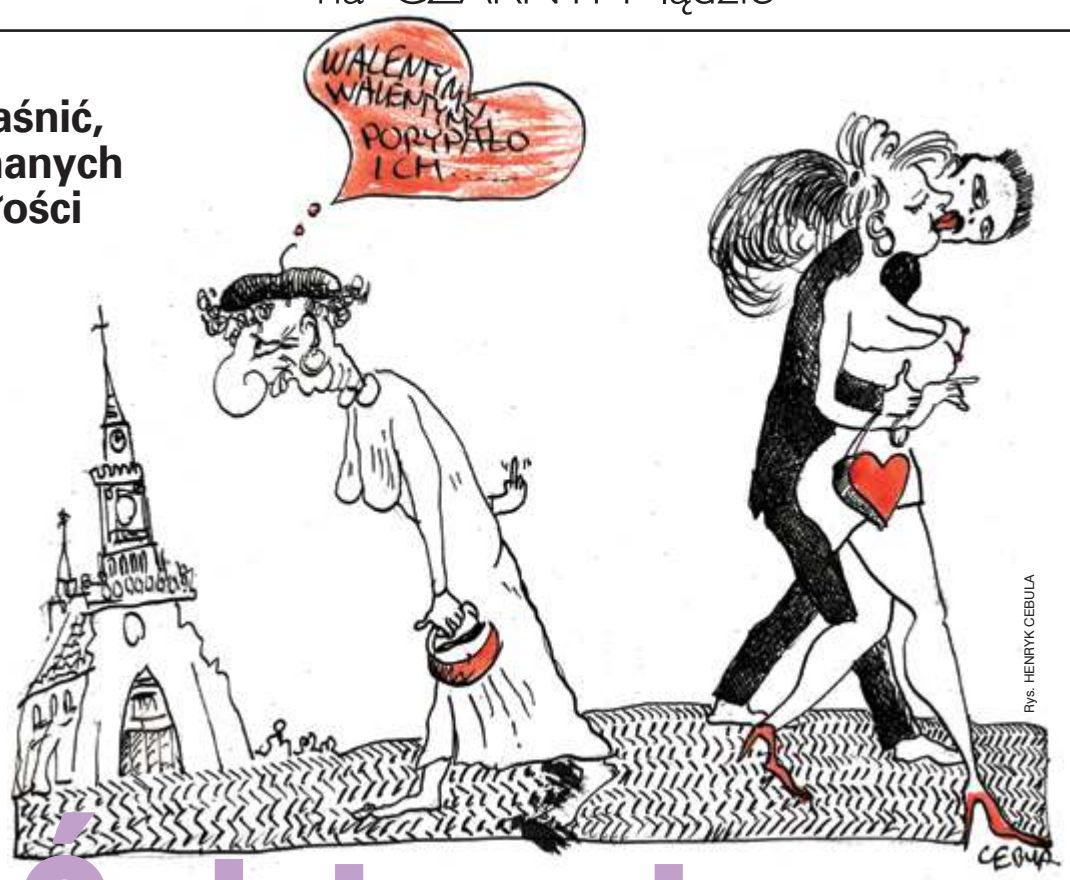
Według Mentzena progresywne i wysokie podatki ograniczają możliwość życia w podmiejskiej rezydencji z widokiem na błękitną wodę basenu. Co gorsza, ludzie z „genami lenistwa” popadają w – jak wyraził się skądinąd błyskotliwy krytyk próżniaczej elity Thorstein Veblen – „wyuczoną bezradność”. Stają się tak piętnowanymi przez warszawkę „roszczeniowcami”. Tylko przesłaniają widok morskich bałwanów swoimi napęczniałymi od piwa brzuchami.

Ale co począć z chorymi fizycznie, z mającymi problemy z psychiką, z wypaleniem zawodowym po opuszczeniu obozu pracy, który tworzą koledzy Mentzena?

Sprawne państwo jest potrzebne każdej wspólnocie życia i pracy. Dlatego kres liberalnej utopii przewiduje nawet przewodnik wszystkich ekonomicznych fundamentalistów, „The Economist”. Tylko do Mentzena nie dotarła jego prognoza, że „świat wkracza w nową erę, w erę interwencjonizmu”. Dlatego Sławomir hałaśliwie kroczy pod prąd. Dołącza do swoich przodków: warcholskiego szlachcica czy samowładnego magnata I RP. A krajowi potrzeba takich reformatorów jak Franciszek K. Drucki-Lubecki, Eugeniusz Kwiatkowski czy, w Polsce Ludowej, Hilary Minc. Tacy przewodnicy są szczególnie potrzebni wspólnocie, która zawierza opiekę nad swoją przyszłością nie tylko przywódcy upadającego mocarstwa, ale też zdalnemu kierownictwu Hetmanki Narodu – Jasnogórskiej Królowej Polski.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

eprasa.pl 2917610fcc



Rys. HENRYK CEBULA

Święty patron grzechów śmiertelnych

Czy ktoś jest w stanie wyjaśnić, dlaczego patronem zakochanych jest święty Kościoła od miłości odstręczającego?

W erze TikToka, Netflixa i aplikacji do medytacji wielu ludzi uznaje za postęp, że o seksualności mówi się otwarcie, naukowo, z szacunkiem dla autonomii jednostki. Ale jest wyjątek. W Kościele wciąż pojawiają się głosy, które głoszą obowiązek uskuteczniania seksu małżeńskiego pod groźbą grzechu ciężkiego. Ks. Szymon Bańka uderzył w te tony nie w kazaniu, ale na internetowym profilu. I to też nie swoim, ale placówki edukacyjnej – Szkoły Podstawowej i Liceum im. św. Tomasza z Akwinu w Józefowie.

„Jest rzeczą faktycznie dla mnie trochę szokującą, że małżonkowie dzisiaj tego nie rozumieją, że w momencie składania przysięgi małżeńskiej przekazują sobie wzajemnie prawo do swojego ciała" – wyrzucił z siebie duchowny, dodając, że odmowa udostępnienia pochwy przez żonę bez „poważnego powodu" to grzech ciężki, nawet gdy powodem jest brak ochoty czy złe samopoczucie.

Podnóżek męża

Dla znawców Kościoła to nie nowość. Oni wiedzą, że w kościelnym systemie pojęciowym nie istnieje seks za zgodą i bez zgody, tylko małżeński i pozamałżeński. Naprawdę. W demokracji z prawem karnym jest instytucja, która ignoruje fundamentalną zasadę prawa mówiącą, że każdy stosunek bez zgody to gwałt – w małżeństwie czy poza nim. Prawo polskie nie dopuszcza żadnej poważnej przyczyny do usprawiedliwienia przemocy w łóżku.

Niby to, co uważa ks. Bańka, nie jest oficjalnym nauczaniem Kościoła rzymskokatolickiego, jednak owieczki traktują takie wypowiedzi serio. W tym kontekście warto wspomnieć o katolickim patronie miłości – św. Walentym. W kulturze popularnej ten święty jawi się jako miłosny geniusz, patron zakochanych, listów miłosnych i pocałunków. Tymczasem w oficjalnym nauczaniu Kościoła jest to męczennik, którego kult został zderzony z folklorem i konsumpcyjną wersją miłości romantycznej.

Czy nie jest to groteskowe? Kościół, który w praktyce potrafi mówić o seksualności językiem obowiązków i kar, stawia – jako patrona miłosnych uniesień – kogoś, kto w kulturze świeckiej stał się symbolem namiętności i „miłości w czystej formie".

Nieznośna lepkość katolicyzmu

Nieczęsto się zdarza, by coś tak nudnego jak cykl owulacyjny znalazło się w centrum społecznej debaty. A jednak! W XXI w., w epoce medycznych aplikacji i psychologii popularnej, zaskakująco wielu ludzi wciąż uważa, że najlepszym doradcą w sprawach seksu jest instytucja, której członkowie deklarują bezżenność i bezdzietność. I że mężczyzna w sutannie, który co najwyżej miał bliską relację z klerykalną dyscypliną, najlepiej wie, co kobieta ma czuć, robić i kiedy.

Bo w Polsce naprawdę wciąż są ludzie, którzy traktują nauczanie Kościoła o seksie poważnie. Ich liczba może maleje, ale zapał nie gaśnie. Ogień ten, z braku miłości cielesnej, podsycany jest poczuciem obowiązku, wstydu i przekonaniem, że Bóg szczególnie interesuje się miejscem wytrysku.

Wciąż jest w cholerę ludzi, którzy postanowili zaufać NPR, czyli naturalnym metodom planowania rodziny. Dziś mówią: czują się oszukani. W mediach kobiety stosujące katolickie koncepcje seksu mówią wprost: „Czuję się okradziona z wielu okazji bliskości". „Metody NPR nie dały mi ani bliskości, ani wolności, ani radości".

Nie trzeba być seksuologiem, by zrozumieć, że nakładanie na małżeństwo rygoru śluzowo-termometrycznego zabija coś więcej niż libido. Zabija więź. Życie według cyklu prowadzi do seksualnej frustracji, przerywania bliskości, do relacji mierzonej nie czułością, ale wykresem temperatury.

Kościelna argumentacja sypie się, gdy tylko poskrobie się ją nauką czy zwykłym doświadczeniem. Psychologia mówi jasno, że seksualność to sfera intymna, indywidualna, oparta na bezpieczeństwie i autonomii. Kościół mówi: seks tylko z intencją rozmnażania, najlepiej po ślubie i najlepiej z termometrem w ręku. Wszystko inne to nieczystość.

Filozofia brudnych myśli

Nieczyste są więc relacje osób tej samej płci. Nieczyste są kobiety, które nie chcą kolejnego dziecka. Nieczyste są małżeństwa używające prezerwatywy. Nieczyste są nastolatki, które się zakochały. Nieczysty jest dotyk, jeśli nie poprzedzony sakramentem. Nieczysta jest masturbacja, jakby ręka do siebie nie należała.

Kościół naucza, że pożądanie to grzech, a potrzeba bliskości to pokusa. Psychologia mówi: pożądanie to część zdrowej psychiki. Bliskość to ludzka potrzeba. Odmawianie jej nie prowadzi do świętości, lecz do frustracji, depresji, zaburzeń tożsamości i lęku przed ciałem. Ilu ludzi Kościół zdołał nauczyć wstydu wobec własnej seksualności? Ilu młodych wchodziło w dorosłość z przeświadczeniem, że ich popęd to problem moralny, a nie biologiczny fakt? Ilu chłopaków klęczało w konfesjonale za „brudne myśli", ilu dziewczynom powiedziano, że dziewictwo to „dar dla męża"?

To nie są błahostki. To są ciche dramaty pokoleń. Dziewczyny uczone, że ich wartość kończy się na błonie dziewiczej. Chłopcy przekonywani, że każda erekcja to wezwanie do spowiedzi. Rodzice, którym wmówiono, że seksualność dzieci to wyłącznie zagrożenie. Narzeczeni, którzy przez lata życia w czystości nie nauczyli się niczego o sobie. Święty Walenty jako patron miłości i seksu? Paranoja!

Na szczęście statystyczny katolik coraz mniej przejmuje się tym nauczaniem. Bo co tu przejmować się czymś, co z miłością i seksem ma tyle wspólnego co biskup z ginekologią?

W badaniach widać jasno, że wierni stosują antykoncepcję, akceptują związki homoseksualne i nie czują potrzeby konsultowania swego życia seksualnego z proboszczem.

Ale Kościół wciąż upiera się przy nauce, która jest oderwana od życia, emocji, psychiki, a nawet od świętych pism. Bo gdzie w nauczaniu Jezusa znajdziemy wytyczne co do miejsca wytrysku albo zakaz seksu w okresie płodnym?

Kościelne ingerencje w psychologię człowieka zaczynają się wcześnie. Nauczanie dzieci, że mają „czystą duszę", którą można „zabrudzić", prowadzi do neurotycznego lęku. Obowiązkowe spowiedzi od wczesnej podstawówki uczą, że każdy grzech czyni cię niegodnym. Dziewczynkom mówi się, że są odpowiedzialne za męskie pożądanie, że dekolt to prowokacja, że makijaż to pokusa. Chłopców uczy się, że muszą „panować nad sobą", bo ciało to źródło upadku.

Nauka Kościoła o seksie to efekt wiekowej fiksacji na cielesności. Fiksacji, która zrodziła celibat, mizoginię i obsesję kontroli. Kontroli, która pozwoliła na przemoc, hipokryzję i krzywdę. Kontroli, która zniszczyła tysiące istnień, zarówno dzieci molestowanych przez księży, jak i dorosłych, którzy całe życie walczyli z seksualnym wstydem.

Czemu to trwa? Bo seksualność to wygodne narzędzie zawieszonych na Kościele partii politycznych. Łatwo budzi lęk, łatwo ją potępić, łatwo wykorzystać jako narzędzie dominacji, ale tylko dla maluczkich. Nie bez powodu Kościół nie potrafi poradzić sobie z homoseksualnością duchownych, bo musiałby przyznać, że sam stworzył system oparty na wypieraniu i kłamstwie.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Państwowa Komisja ds. Pedofilii wydała postanowienie o wpisaniu ks. Jana Wodniaka do publicznego rejestru pedofilów. Duchowny związany z diecezją bielsko-żywiecką został oskarżony przez byłego ministranta Janusza Szymika o popełnienie na nim setek gwałtów w latach 1984–1989. Szymik w przeszłości informował o tym biskupa bielskiego Tadeusza Rakoczego, jednak bezskutecznie. W 2012 r. sprawa dotarła również do kard. Stanisława Dziwisza, ale ks. Wodniak nie poniósł konsekwencji. Został odsunięty od posługi dopiero w 2014 r. przez biskupa Romana Pindela. Zawiadomienie trafiło także do prokuratury, ale śledztwo zostało szybko umorzone z uwagi na przedawnienie czynów. Aktualnie w publicznym rejestrze pedofilów, który prowadzi PKDP, wpisano sześć osób, w tym czterech księży. Postanowienie zostało przekazane sprawcy oraz pokrzywdzonemu. Strony mają 30 dni na złożenie odwołania do sądu.

✚ Komenda Powiatowa Policji w Jaśle prowadzi postępowanie wyjaśniające w sprawie występu zespołu Radion podczas 34. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W trakcie koncertu z ust wokalisty miały paść słowa „spalić kościoły, połamać krzyże". Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstw z art. 256 (m.in. nawoływanie do nienawiści na tle wyznaniowym) oraz art. 257 kk (napaści na tle religijnym) złożyło dwóch radnych miejskich. Do Prokuratury Rejonowej w Jaśle wpłynęło też zawiadomienie od posła Dariusza Mateckiego, prezesa Fundacji Ośrodka Monitorowania Antypolonizmu. „Wysyłam zawiadomienie do prokuratury, które dotyczy wzywania do palenia kościołów, w tym być może zabójstwa ludzi, którzy modlą się w tych kościołach, ze względu na nienawiść do chrześcijan" – argumentował Matecki. Nie trzeba zaraz palić, można przerabiać na kluby nocne.

✚ Dobre wiadomości dla pasjonatów gier komputerowych, którzy czują się przybici i cierpią na bóle krzyża. 2 kwietnia w Wielki Czwartek i 21. rocznicę śmierci Jana Pawła II każdy chętny będzie mógł się wcielić w postać syna bożego. Wszystko za sprawą „Symulatora Jezusa Chrystusa". „Wykonaj ponad 30 znaczących cudów – od nakarmienia 5 tys. osób i uzdrowienia trędowatych po uciszenie burzy i przywrócenie wzroku niewidomym" – zachęca producent gry. Złośliwi twierdzą, że zabawa skończy się na ukrzyżowaniu, a kolejna część „Zmartwychwstanie" ukaże się dopiero za rok. Cóż, my i tak wolimy strzelanki.

KLECHA



Rys. WIDGET

Nowe porządki w Krakowie Rysielieu

Grzegorz Ryś, z zawodu kardynał, mości się w Krakowie: wprawdzie zapowiedział, że w pałacu mebli przestawiał nie będzie, ale żywy inwentarz kurii jest tasowany intensywnie.

Zmiana dokonała się na najważniejszym stanowisku: kanclerzem kurii metropolitarnej został ks. prof. Jan Dohnalik. Niektórzy widzą w tym dobrą zmianę, bo Dohnalik był w zespole przygotowującym podwaliny pod komisję episkopatu, która miała zbadać pedofilię wśród kleru. Komisja ta została storpedowana przez przezornych biskupów, którzy uznali, że nie ma co się za bardzo obnażać przed plebsem.

Zanim Ryś przeniósł się do Krakowa, na odchodne zaordynował powstanie osobnej komisji od pedofilii w Łodzi. Powstania krakowskiej wprawdzie jeszcze nie zapowiedział wprost – ale robi choćby pozorowane ruchy w tym kierunku. Otworzył Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie i mianował dyrektora tej instytucji – ks. dr. Rafała Szczurowskiego. Za Jędraszewskiego archiwum było zamknięte zarówno dla naukowców, jak i dla dziennikarzy.

– Ksiądz kardynał Ryś podkreśla, że archiwum będzie dostępne na takich zasadach, na jakich funkcjonuje każda inna tego rodzaju instytucja. Oznacza to dostęp do zbiorów archiwalnych sprzed ostatnich 50 lat, bo taki jest standard – informuje rzecznik archidiecezji krakowskiej ks. Piotr Studnicki. Rzecznik także nowy – z tych obytych z nowymi mediami i natrętnymi dziennikarzami. Oprócz tego Ryś zamianował sobie młodego sekretarza, 36-letniego ks. Łukasza Jachymiaka. Za tak aktywnym hierarchą trzeba nadążyć.

Co zaś do spodziewanej krakowskiej komisji, to należy studzić zapał.

Komisja historyczna ds. pedofilów w krakowskiej kurii musiała by obejmować także – a nawet przede wszystkim – mistrzów i protektorów Rysia. Wojtyła – wiadomo. Potem Macharski,



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

o którym Grzegorz Ryś wypowiada się z najwyższym szacunkiem, wielokrotnie podkreślając, że na piersi nosi pektorał (krzyż biskupi), który otrzymał właśnie od następcy Wojtyły w Krakowie. Następnie Dziwisz, który zrobił go wpierw rektorem seminarium, a potem swoim biskupem pomocniczym – kto to słyszał, żeby dokonać symbolicznego ojcobójstwa, wywlekając brudy?

Jest furtka: w wyniku wytężonych prac komisji może się okazać, że całe zło w archidiecezji krakowskiej skumulowało się w czasie rządów Marka Jędraszewskiego.

W końcu to, co najważniejsze, czyli pieniądze. Ryś chce się dowiedzieć, ile ich jest w Krakowie i jak gospodarzył poprzednik. Zarządził audyt finansowy. Archidiecezja krakowska to jedna z najbogatszych diecezji w Polsce, o ile nie najbogatsza. Kościół zarządza wieloma nieruchomościami generującymi milionowe zyski. Ten tort był przyczyną sporów duchowieństwa z byłym metropolitą. Jędraszewski wstawiał na lukratywne stanowiska swoich ludzi, czym oburzali się pominięci i odsunięci od cyca. „Tęczowa zaraza" czy poparcie dla PiS to był tylko teatr dla mas. Liczyła się – i liczy – kasa. Teraz wygłodniali stoją w przedpokojach Rysia w oczekiwaniu na swoją porcję.

Ponieważ PiS już nie lubi Ukrainy, zwolenników Kaczyńskiego – nie mówiąc już o tych od Mentzena, Bosaka i Brauna – oburzyła zbiórka, którą zarządził metropolita krakowski. Z jego inicjatywy uzbierano na pomoc Ukraińcom prawie 6 mln zł, a on sam ufundował generator prądu. „Wiem, że tydzień wcześniej gra Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, którą hojnie wspieracie" – napisał w liście do diecezjan, machając kolejną płachtą na prawicowców – Owsiakiem.

Kardynał ewidentnie obrał kurs kolizyjny z prawicą, ale kto bogatemu zabroni?

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 2917610fcc

Margrabia

Lekcja powstania styczniowego – nieodrobiona do dziś

Kolejna rocznica powstania styczniowego w tym roku obchodzona jest cicho i niemrawo, przytłoczona mnóstwem aktualnych sensacji. Bardzo tradycyjnie wielbi się czerwonych i białych, nie czyniąc między nimi większej różnicy, pomstuje na Moskali – ale wszystko bez większego zapału, takoż po stronie lewicy, jak prawicy. Aby wyłamać się z tej narodowej jedności, zajmijmy się postacią w tej epoce ważną i kontrowersyjną: margrabim Aleksandrem Wielopolskim.

Marszałek i inni historycy

Na wstępie odwołajmy się do wielkiego autorytetu politycznego – a w tym przypadku również naukowo-historycznego. Józef Piłsudski powstanie to nie tylko wielbił, ale też autentycznie jego dzieje badał. Wśród jego dociekań ważny jest wątek personalny, ocena kompetencji politycznych i wojskowych liderów polskiego społeczeństwa w tamtej epoce.

Zacytujmy fragment tych rozważań: „Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margrabia! Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu. Widzę wspaniałą scenę – Pałac Zimowy w ogromnym Petersburgu, liczny zastęp dygnitarzy czeka na wejście cara, czekają, stojąc pokornie i cierpliwie – margrabia siedzi. Gdy zwrócono mu uwagę, by powstał, gdyż majestat rosyjski ma wejść w tej chwili, odpowiedział: »Przed królem swoim dopiero powstanę«. Nie był niewolnikiem, wielka siła, wielka duma. Padł, zduszony obręczą bagnetów z jednej i z drugiej strony, padł pod siłą pogardy, gnieciony często potwarzą nienawiści”…

Tak Józef Piłsudski, wielbiciel powstania styczniowego, oddał sprawiedliwość naczelnemu przeciwnikowi tego powstania, Aleksandrowi Wielopolskiemu. To fragment wykładu Marszałka z okazji sześćdziesięciolecia tego powstania, wygłoszonego w ogromnej sali warszawskiego kina Colosseum.

Historiografia polska jest dla margrabiego dużo mniej łaskawa niż Piłsudski. Z biegiem czasu nawet coraz mniej. W podręcznikach szkolnych bywa ignorowany lub wyłącznie potępiany, kreowany na rodzaj antypatrioty, autor branki i wróg powstania; do jego racji nie przykłada się wagi i uwagi. Lepiej, ale nadal po macoszemu traktują go historycy akademiccy. Tylko w szkole poznańskiej doczekał się obszernej dwutomowej monografii Adama Skałkowskiego.

W 100-lecie powstania w Polsce Ludowej oficjalna polityka historyczna wielbiła „czerwonych”, sprzymierzających się z rosyjskimi narodnikami. O pamięć margrabiego upomniał się tylko katolicki „Tygodnik Powszechny”, ale cenzura usiłowała mu to uniemożliwić. Pomogła dopiero interwencja u samego Władysława Gomułki. Nawet we wspaniałej skądinąd monografii Stefana Kieniewicza „Powstanie styczniowe” margrabia jest nieco na marginesie. Strony, na których pojawia się jego nazwisko, znacznie ustępują tym z nazwiskami Agatona Gillera (czerwoni) czy Ludwika Mierosławskiego (biali).

Usposobienie względem Rosji

Aleksander hrabia Wielopolski margrabia Gonzaga Myszkowski (1803––1877) był arystokratą i zamożnym ordynatem. Niecodzienny w tradycji polskiej tytuł margrabiego jego przodkowie odziedziczyli w XVIII w. w wyniku koligacji z wygasającym rodem Gonzagów-Myszkowskich, który ten tytuł otrzymał od papieża w XVI w.

W czasie powstania listopadowego – którego nie popierał, ale doń przystąpił ze względu na opinię – margrabia przez kilka miesięcy pełnił funkcje dyplomatyczne w Londynie. Miał pozyskiwać poparcie mocarstw zachodnich dla powstańców. Nabrał wtedy zdecydowanego przekonania, że na takie poparcie w żadnym znaczącym stopniu sprawa polskiej niepodległości liczyć nie może; że nikt w jej interesie nie zechce wejść w konflikt ze Świętym Przymierzem. Polska musi liczyć na siebie i ewentualnie na sąsiadów.

Inny aksjomat jego stanowiska politycznego powstał pod wpływem galicyjskiej rabacji (1846). Był głęboko wzburzony i przerażony pełną okrucieństw rzezią, jaką chłopi pańszczyźniani zachęceni i podburzeni przez władze austriackie sprawili szlachcie polskiej i jej rodzinom (około 1500 ofiar). Opublikował w tej sprawie anonimowy otwarty list „polskiego szlachcica” do księcia Klemensa von Metternicha, ówczesnego kanclerza i wielkorządcy Austrii. Wyraził przekonanie, że jakakolwiek ugoda między społeczeństwem polskim a władzami Cesarstwa Austrii oraz wspierających je Prus została wykluczona.

Ponieważ w obliczu totalnej klęski powstania listopadowego nie widział innych dróg do polepszenia położenia Polski jak ugoda z którymś z zaborców, zdecydował się postawić na Rosję. Zadeklarował to otwarcie we wspomnianym liście: „Wszystko ku temu zmierza, by dokonać zmian w usposobieniu Polaków względem Rosji; przed nami wielka przyszłość… szlachta polska powinna z Rosjanami kroczyć na czele cywilizacji słowiańskiej…”. W zamian chciał, żeby car stworzył Polakom „warunki pracy społecznej i realizacji wyższych interesów”. Nie liczył na Mikołaja I, nadzieje wiązał z jego następcą Aleksandrem II, podobnie zresztą jak tysiące ówczesnych Polaków. Stefan Kieniewicz informuje, że pierwsze wizyty Aleksandra II w Warszawie, w maju 1856 r. i we wrześniu 1858 r., społeczność polska powitała entuzjastycznie i z nadzieją. Nie oziębiło tych nastrojów nawet kilkakrotnie powtórzone: „Żadnych marzeń, panowie!”.

Car zresztą później wyjaśniał, że tę przestrogę powtarzał mając na myśli polskie oczekiwania na włączenie do Królestwa tzw ziem zabranych – terenów porozbiorowych na wschód od Bugu. Wielopolski w tej sprawie zamierzał pójść carowi na rękę i z postulatu przyłączenia tych ziem oficjalnie się wycofać. Było to nie do przyjęcia dla społeczności szlacheckiej – choć dla ludu niekoniecznie. Nostalgię za granicą z 1772 r. wykpiwała popularna ludowa piosenka powstańcza z 1831 r.: „Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękoma czarnymi od pługa, panowie w stolicach kurzyli cygara, radzili o braciach zza Buga”…

Biali, czerwoni i ci trzeci

W podręcznikach szkolnych – a bywa, że w akademickich również – szerzej informuje się o dwu polskich stronnictwach w dobie powstania styczniowego: czerwonych i białych. Piłsudski inaczej to widział. Jeszcze raz oddajmy mu głos: „Było ich trzy – wielopolsczycy, biali i czerwoni. Trzy wielkie potęgi, co świat ówczesny polski poruszały i w wielkim dziejowym roku silnymi były. Pierwsze nieliczne, lecz silne pracą i wielkością oraz potęgą swego przodownika – margrabiego Wielopolskiego. Siła charakteru duża, stalowy człowiek z wielką wolą, rozporządzał niewielką liczbą pomocników i przyjaciół. Co czynił? Wykorzystując osłabienie najeźdźcy po przegranej wojnie krymskiej, grając na zmianach personalnych w otoczeniu nowego cara, pracował nad spolszczeniem urzędów w Polsce, usuwając resztki śladów epoki poprzedniego cara Mikołaja i jego faworyta, namiestnika warszawskiego, Paskiewicza. Cały aparat rządowy stawał się polski, a odrodzona Szkoła Główna [dawna nazwa: Uniwersytet Warszawski] dotąd jest pomnikiem jego zasługi. Do społeczeństwa Wielopolski odnosił się z pogardą, żądając jedynie posłuszeństwa. Posłuch ten wymuszał gwałtownymi środkami i w niczym nie różnił się od najeźdźców, którzy użyczali mu w tym celu rąk i aparatu… Czerwonych nienawidził jak wrogów osobistych, więził, katował, szpiegował na spółkę z policją carską. Nieraz całą wielką siłę charakteru zużywał na nienawistne szykanowanie jednych i drugich z pogardzanych stronnictw. Odpłacano jemu i jego stronnictwu tym samym”. Nie przypadkiem przypisuje się mu porzekadło: dla Polski wiele można zrobić, niestety z Polakami nic!

Margrabia sprawował władzę w Królestwie niespełna dwa lata: blisko rok jako dyrektor w Komisji Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych, a kilka miesięcy w 1862 r. jako naczelnik Rządu Krajowego. Miał znaczące osiągnięcia. Obok całkowitego spolszczenia administracji i radykalnego wzmocnienia polskiego szkolnictwa, przywrócił Radę Stanu zlikwidowaną przez Mikołaja I, oczynszował chłopów, zrównał w prawach cywilnych Żydów. Był na dobrej drodze do przekształcenia Królestwa w polską autonomiczną prowincję, rządzoną przez Polaków i w polskim interesie.

Szykująca powstanie zbrojne partia czerwonych widziała w tym wielkie zagrożenie, za wszelką cenę chciała te plany pokrzyżować, próbowała zabić margrabiego, nawet dla jego obalenia przyspieszyć powstanie. W tej sytuacji Wielopolski zdecydował się na krok ryzykowny: zarządził przyspieszenie „branki”, zaplanowanego przez Rosjan pierwszego po wojnie krymskiej poboru do wojska. Liczył na to, że większość amatorów powstania trafi „w kamasze”. Czerwoni zareagowali na to natychmiastowym proklamowaniem powstania. Walki się rozpoczęły i zmieniły sytuację.

Car poczuł się zawiedziony Wielopolskim, szybko go zdymisjonował. Władzę przejęli wojskowi i anulowali reformy margrabiego. On sam wyjechał z kraju do Drezna i pozostał tam do śmierci. Zacięta polsko-polsko wojna dwu koncepcji polityki niepodległościowej – zbrojnej i ugodowej – skończyła się klęską obu. A także katastrofalnymi tym razem ofiarami polskiego społeczeństwa, zwłaszcza szlachty, i stopniową likwidacją wszelkich pozostałości po Królestwie. Najciemniejsza noc niewoli, nastała pełna rusyfikacja szkolnictwa i administracji, nawet ksiąg metrykalnych w kościołach.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ale nie doszliście…

Spór o drogi do niepodległości nie wygasł, odżył z nową siłą na początku XX w. Nowe powstanie szykował Józef Piłsudski, wtedy przywódca PPS. Alternatywne plany, bliższe dawnym koncepcjom Wielopolskiego, snuł Roman Dmowski, twórca i przywódca Narodowej Demokracji. Na spotkaniu z emigracją popowstaniową w Szwecji Dmowski na polemikę szanowanego tam bukinisty – „Inną drogą szliśmy ku niepodległości w 1863 r.” – replikował: „Ale nie doszliście! Ten, kto przegrał, nie ma moralnego prawa nakłaniać innych do naśladowania!”.

Wielbiciele tradycji powstańczej utrzymywali, że dzięki tym heroicznym klęskom naród nie poddał się rusyfikacji i zachował tożsamość. Po stronie przeciwnej przemawiały jednak fakty. Dzielnica porozbiorowa Galicja – bliska rozmiarami Królestwu – w 10 lat po upadku Wielopolskiego zrealizowała jego marzenie. Dzięki reformom proklamowanym przez cesarza Austrii Franciszka Józefa I

Galicja uzyskała szeroką autonomię, z polskim językiem państwowym, z własnym sejmem i administracją, szkolnictwem i dwoma uniwersytetami. Wszystko bez powstań. Świadomość narodowa nie tylko tam nie ucierpiała, nawet umocniła się i wkroczyła na wieś.

Przedstawiciele chłopów polskich pojawili się nie tylko w sejmie prowincjonalnym, lecz też w wiedeńskiej Radzie Państwa.

A w 1918 r. Galicja niepodległości przysłużyła się mocniej niż Królestwo osłabione heroicznymi klęskami. Tam powstał pierwszy rząd polski wolny od wpływu zaborców, tam odrodziło się polskie legionowe wojsko, tam były mateczniki głównych polskich partii politycznych: narodowej demokracji, ludowców, socjalistów. Tamtejsze świetnie prosperujące uniwersytety kształciły kadry dla Niepodległej. A mimo to w świadomości narodowej przewagę zdobywała tradycja heroicznych klęsk powstańczych. Po drugiej wojnie światowej zawładnęła nią całkowicie.

Można konkludować: w 1863 r. społeczeństwo polskie, odwracając się od margrabiego, straciło szansę polityczną. Półtora wieku później – zapominając nie tylko o margrabim, ale też o innych tradycjach realizmu politycznego, m.in. o zaleceniach Dmowskiego – traci szansy cywilizacyjne, otwierając wciąż nowe karty w Aleksandra Bocheńskiego „Dziejach głupoty w Polsce”.

M.Z.

Wykorzystano m.in.: Mirosław Maciorowski, „Powstańcy, marzyciele i realiści”, Wyd. Agora, Warszawa 2025.

eprasa.pl 2917610fcc

Warszawo ma

SŁOWO CZERWONE

Szakale w stolicy

Warszawski wieżowiec Intraco miał być zburzony. A w jego miejsce miał powstać mniej więcej identyczny. Temu oczywistemu szaleństwu zapobiegł konserwator zabytków, który w ostatniej chwili zdołał nadać pierwszemu – po Pałacu Kultury – drapaczowi chmur status zabytku, bowiem Intraco ma już 50 lat.

Wciąż jesteśmy w Warszawie świadkami burzenia wieżowców, galerii handlowych, biurowców w centrum, aby w ich miejsce powstały równie albo nawet bardziej okazałe budowle. Zabawa w burzenie i budowanie w tym samym miejscu na nowo to fajna i twórcza rozrywka dla dzieci, kiedy bawią się klockami. Natomiast takie brewerie w centrum dużego miasta to wielkie marnotrawstwo pieniędzy, materiałów budowlanych, ludzkiego wysiłku, które dokonuje się przy znacznym zatruciu środowiska. Deweloperzy zarabiają na budowaniu. Zysk sięga 30 i więcej procent, więc kiedy brakuje terenów pod zabudowę, trzeba burzyć, by móc od nowa budować i zarabiać.

Do normy należy budowanie tam, gdzie dotychczas były wolne przestrzenie, skwery, parki, drzewa. Ktoś, kto kupił mieszkanie z widokiem na zieleń, niebo, horyzont, budzi się nagle, a za oknami widać okna, ściany bardzo blisko wtłoczonego sąsiedniego budynku. Kiedy moja studiująca dziś córeczka miała kilka lat, bardzo narzekała, że z okna jej pokoju nie widać nieba. A było to zwykłe blokowisko z PRL, gdzie odległości między domami nie były takie znów małe. Tyle że mieszkaliśmy na parterze, a widok nieba zasłaniały drzewa.

Warszawa po wojnie była w gruzach. Urbaniści mogli więc poszaleć – i poszaleli. Zbudowano miasto pełne przestrzeni, zieleni, powietrza i światła. Przyszedł rynek i krok po kroku odbiera nam powietrze i przestrzeń. Latem w Śródmieściu powietrze stoi, bo wiatr nie ma już gdzie wiać. Miasto przewiewne staje się miastem dusznym. Protestujący mieszkańcy, którym odebrano wiatr i widok z okna, nie mają szans z wielkim kapitałem, który zarabia na pozbawianiu nas przestrzeni i widoku. Kiedy patrzymy na anarchię budowlaną, mamy wrażenie, ze żyjemy w jakimś trzecioświatowym mrowisku, w którym człowiek nie ma już żadnego znaczenia, a jego potrzeby są nieistotne.



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Lud, który po wojnie wkraczał do Śródmieścia, musi je opuścić, bo jest dla zwykłych ludzi za drogie. Budowniczowie nowej Warszawy nie mogą nawet marzyć o mieszkaniu w centrum, inaczej niż bywało z murarzami, którzy wznosili Stare Miasto, Mariensztat czy MDM.

Budowlańcy ściągający z odległych zakątków kraju nocują w kontenerach lub kwaterach, gdzie dziesięciu ludzi śpi na piętrowych pryczach w jednej izbie, by po skończonej robocie wracać do siebie na wieś.

Stare zaniedbane kamienice wracają do dawnej świetności, tylko jeżeli staną się za pomocą szwindli reprywatyzacyjnych lub po prostu wyprzedaży własnością prywatnych inwestorów. Wyprzedaż starej, często zabytkowej substancji mieszkaniowej stała się jedyną metodą miasta na restaurację pięknych starych kamienic. Miasto praktycznie nie remontuje, tylko czeka na właścicieli, którym te domy wyprzedaje albo – jak to miało miejsce w ramach reprywatyzacji – oddaje. Skorumpowani urzędnicy bogacą się niepomiernie, oddając to, co wspólne, osobom prywatnym, które bogacą się niepomiernie bardziej. Nie było dziełem przypadku, że po wymuszonej przez ruch lokatorski specjalnej sesji Rady Miasta ws. reprywatyzacji ówczesna prezydent miasta Hanna Gronkiewicz-Waltz zdymisjonowała kilku wiceprezydentów.

Najgorsze jest to, że za rozgrabienie wielomiliardowego majątku miasta nikt nie poszedł siedzieć. Bo to wyraźny sygnał, że za rozkradanie Warszawy nic nie grozi. A ofiary tego procederu, czyszczenia kamienic, nie dostały ani grosza odszkodowania, choć specjalna powołana w tym celu komisja odszkodowania przyznała. Jednak miasto nie chce ich wypłacić.

Kolejny rozdział w walce o warszawskie kamienice to walka o dom przy Al. Solidarności, w którym mieści się założony i zbudowany przez nieżyjącego już Emiliana Kamińskiego Teatr Kamienica. Nie wiedzieć czemu miasto, będące większościowym właścicielem nieruchomości, sprzedało prywatnemu inwestorowi strychy. W ten sposób wszedł on do wspólnoty mieszkaniowej i robi wszystko, żeby w tym budynku teatru nie było.

Inwestor walczy o wykup budynku, żeby zarobić. Teatr chce odkupić od miasta tę część, którą zajmuje, żeby realizować swoją ambitną misję. Oferuje rozsądną cenę. Ale na interesach z teatrem nikt nie zarobi, a potencjalny kamienicznik będzie się miał czym podzielić z chciwymi urzędnikami.

W konfrontacyjnej rozmowie z ciężko już chorym Emilianem Kamińskim „inwestor" miał powiedzieć: „Ja mam czas i pieniądze więc wygram. Ty nie masz pieniędzy ani czasu". Wkrótce potem Kamiński zmarł. A jego żona i syn dalej walczą o przetrwanie teatru w sercu miasta. Emiliana Kamińskiego, aktora i społecznika, ciągano po sądach, bo śmiał nazwać mafię po imieniu. Walka trwa, póki teatr gra.

PIOTR IKONOWICZ

Zupa jednak zbrodnicza

Piątka z Hajnówki ponownie przed sądem

Ubiegłoroczny wyrok uniewinniający piątkę wolontariuszy pomagającym migrantom na polsko-białoruskiej granicy nie zrobił na prokuraturze wrażenia. Długo oczekiwane – ze względów niezależnych od stron procesowych – pisemne uzasadnienie wyroku w tym głośnym, relacjonowanym też w „NIE" procesie, w ubiegłym tygodniu spłynęło na biurko Magdaleny Rutyny. Rutyna to była asesorka, która oskarżając piątkę, dostała nagle awans na prokuratorkę rejonową w Hajnówce.

Prokuratorka z lekturą uzasadnienia uporała się momentalnie i

natychmiast zdecydowała, że wyrok, który uwolnił piątkę dobrych ludzi od zbrodni i kary, będzie skarżyć do Sądu Okręgowego w Białymstoku.

Wiewiórki mówią nam jednak, że Rutyna nie podjęła tej decyzji samodzielnie, gdyż zupełnie przypadkowo kilka dni po przesłaniu rejonówce pisemnego uzasadnienia wyroku Hajnówkę nawiedził sam Tadeusz Marek – prokurator regionalny w Białymstoku, najważniejszy z ważnych i ucho Prokuratury Krajowej na Podlasiu.

Podobnie było w przeddzień wyroku Sądu Rejonowego w Białymstoku – co świadczy o tym, że nie tylko prokurator regionalny Marek, ale i sam prokurator generalny Żurek, niezmiennie trzymają rękę na pulsie. I nie pozwolą psuć rządowej propagandy, że zupa przyniesiona wyziębionym ciapatym do lasu to przestępstwo.

Proces, biorąc pod uwagę terminy, a więc pozatykane sprawami sądy, odbędzie się pewnie bliżej jesieni. A jesień, a potem zima, bywają na Białostocczyźnie – co szczególnie widać w ostatnich tygodniach – mroźne w ciul. Zwłaszcza przy gruncie, kiedy masz na sobie przemoczone ubranie, nie jadłeś od kilku dni i dodatkowo boisz się, że ktoś nagle strzeli ci w plecy albo w lepszym wariancie wypchnie za druty, wprost w objęcia białoruskiego pogranicznika.

Wszystko wskazuje więc na to, że będziesz wtedy jak ta dziewczynka z zapałkami z baśni Andersena. Zamarzniesz na śmierć, bo taka Ewa Kaczyńska-Moroz, zamiast przynieść ci do lasu gorącą zupę, będzie się po raz drugi przed wysokim sądem tłumaczyć ze swojego człowieczeństwa.

JMP

Precz z manią wielkości!

Marzenie o małej Polsce

„Mówię dziś do was przyjaciele: nie pozwólmy sobie na pełzanie po alei rozpaczy. Nawet patrząc na dzisiejsze i wczorajsze trudności, wciąż mam marzenie" – tymi słowy Martin Luther King jr. odezwał się do zebranych w Waszyngtonie 28 sierpnia 1963 r. W tej słynnej mowie, notorycznie błędnie funkcjonującej w polskim obiegu jako „Mam taki sen", zamordowany parę lat później działacz praw człowieka wyrażał nadzieję, że dożyje dnia, w którym ludzie będą osądzani podług wartości swych charakterów, a nie żadnych innych względów.

Lektura przemówienia pastora Kinga natchnęła mnie. W epoce rosnącej w siłę faszyzującej prawicy, rozrabiającego jak pijany zając za miedzą Trumpa, samozwańczych demokratów, którzy są zajęci wyłącznie własnymi stołkami, chcę odejść od nieszczęsnej „bieżączki". I poświęcić chwil parę refleksji nad pytaniem, dokąd idziemy. A raczej: dokąd powinniśmy iść?

Najwyższy czas, aby wszyscy ludzie rozumni w naszym kraju zjednoczyli się, aby z ich ust gromko padł okrzyk: „Dość rojeniom o wielkiej Polsce! Żądamy małej Polski! Polski normalnej!".

Jeśli spojrzeć na wszystkie możliwe opcje polityczne, łączy je marzenie o wielkiej Polsce. Jak w „Misiu" Stanisława Barei: chcemy zamknąć usta niedowiarkom, pokazać światu, na co nas stać i że nie jest to nasze ostatnie słowo!

Lista faraońskich projektów jest długa jak Litania do Matki Boskiej Loretańskiej: Port Polska (dawniej CPK), najszybsza kolej w Europie, kilka elektrowni jądrowych, igrzyska olimpijskie, polska sztuczna inteligencja, najwięcej czołgów na kontynencie, a ostatnio pojawiły się pomysły budowy bomby jądrowej i rodzimego kosmodromu.

Uderzająca jest zgoda ponad podziałami co do budowy wielkiej Polski. Różnice dotyczą jedynie szczegółów. Wiking Zandberg chciałby Polski z atomu, krzemu i stali, hucpiarz Braun wzywa do renesansu ojczyzny, odrzucenia „Eurokołchozu", który wyzwoli rodzimą przedsiębiorczość na niesłychaną skalę, zawierzenia kraju Jezusowi i Maryi Zawsze Dziewicy, co zapewni pomyślność po wsze czasy. Polak w Polsce będzie gospodarzem i jebać obcych.

A ja mam odwagę marzyć o małej Polsce. Ot, takiej akuratnie szytej na miarę średniego kraju w środku Europy, ani biednego, ani bardzo bogatego.

Chciałabym państwa, które jak ta żaba nie podsuwa łapy, gdy konie kują. Nie roi sobie, że jest 20. potęgą gospodarczą na świecie, choć na mieszkańca wedle parytetu siły nabywczej jesteśmy zaledwie na miejscu 42.

Kraju, który nie nadyma się, by inni widzieli w nim coś większego, aniżeli w rzeczywistości jest. Polski, gdzie będzie dobrze się żyło wszystkim mieszkańcom – tubylcom, ale i gościom z Ukrainy, Gruzji czy krajów afrykańskich i bliskowschodnich. No i oczywiście Polski stawiającej czoła zmianom klimatycznym, szanującej przyrodę, a nie traktującej jej nade wszystko w kategorii darmowych zasobów.



Rys. OBYWATEL JANEK

Marzę, że pewnego dnia główną troską społeczną będzie los najsłabszych grup społecznych, pozbawionych majątku i dostępu do ucha polityków, kupowanego za pieniądze i posady dla rodziny i znajomych królika.

Marzę, że pewnego dnia w Polsce służba zdrowia będzie na takim poziomie, że rozwinięty sektor prywatnego biznesu medycznego skarleje, nie tucząc się niepomiernie na niewydolności sektora publicznego. Że ludzie nie będą czekać latami na wizyty u specjalistów lub konieczne zabiegi medyczne. Że leki nie będą horrendalnie drogie dla pacjentów.

Marzę, że pewnego dnia Kościół katolicki straci wpływy polityczne i gospodarcze. Że religijne widzimisię biskupów nie będzie wpisywane do ustawodawstwa obowiązującego wszystkich ludzi, nie tylko katolików. Kościół zajmie się życiem wiecznym swoich owieczek, a nie budową potęgi na ziemi, tej ziemi.

Marzę, że pewnego dnia prawo antyaborcyjne stanie się złym snem z niechlubnej przyszłości, a nad Wisłą i Odrą macice z zygotą nie będą upaństwowione. Kobiety nie będą tracić prawa do własnego ciała tylko dlatego, że zaszły w ciążę.

Marzę, że pewnego dnia w Polsce ludzie z niepełnosprawnością nie będą obywatelami drugiej kategorii, skazanymi na wegetację i często śmierć cywilną; że ich los nie będzie – co najwyżej – wykorzystywany, by wzbudzać litość u reszty społeczeństwa, rzucającego czasem jakieś ochłapy.

Marzę, że pewnego dnia Polska A nie będzie już kazała Polsce B i C pocałować się w de. Masa wykluczonych ludzi Polski prowincjonalnej nie będzie dłużej wyśmiewana, poniżana, co wykorzystują i będą wykorzystywać polityczne sępy z prawicy.

Marzę, że pewnego dnia osoby, które nie mają samochodów ani prawa jazdy, przestaną być traktowane jak frajerzy i nieudacznicy. Że zwalczanie wykluczenia komunikacyjnego, przywiązującego ludzi do ich wsi i miasteczek niczym chłopa pańszczyźnianego do ziemi, stanie się kwestią priorytetową.

Marzę, że szkoła nie będzie miejscem dręczenia uczniów przytłoczonych przeładowanymi programami przedmiotów, a edukacja będzie na równie wysokim poziomie od Warszawy po wsie podkarpackie. Że znikną szkoły hodujące brojlery na sterydach, w których uczą się dzieci bogatych rodziców; szkoły pełne uczniów wygrywających olimpiady, ale psychicznych i uczuciowych kalek. Że uczniowie będą rozwijać swoje zainteresowania, zaspokajać ciekawość wiedzy o świecie i sobie samych, rozwijać myślenie krytyczne. Marzę, że zawód nauczyciela stanie się prestiżowy, szanowany i doceniany finansowo.

Ktoś może powiedzieć, że to spis pobożnych życzeń, jeszcze brakuje tylko postulatu manny z nieba i domu z basenem dla każdego. Takie podejście świadczy jednak tylko o tym, jak bardzo wyprano nam zbiorowo mózgi, jak ograniczono nam horyzont myślowy. To wszystko, o czym wspomniałem, jest w zasięgu naszych możliwości.

Jak wiadomo, nieograniczona jest tylko ludzka głupota i boże miłosierdzie. Zasoby materialne, zwłaszcza średniobogatego kraju jak Polska, są ograniczone. Zresztą, nawet naftowych multimiliarderów z Norwegii na wszystko nie stać. Rzecz w tym, na co chcemy wydawać pieniądze, a co zostaje zepchnięte na boczne tory.

Dążąc do Polski rzekomo wielkiej, wręcz potężnej, godzimy się na wołające o pomstę nierówności społeczne i krzyczące niesprawiedliwości. Uciekamy w technologię, aby zapomnieć o kwestiach społecznych. Tylko Polska mała, bez zadęcia, ale życzliwa wobec swych mieszkańców, będzie naprawdę wielka!

KAT

eprasa.pl 2917610fcc

Jak się kochać, to po cichu, po ciemku, a najlepiej w pustelni.

Seks ogrodnika



Odbiór wieczornych uniesień bywa różny. Dla jednych to koncert organowy na dwa głosy i sprężynujące łóżko, dla innych – dramat. Niektórzy nie mogą spać, bo zagłówek sąsiada uderza w ścianę z siłą młota pneumatycznego.

Decybele zazdrości

„Mamo, możesz sprawdzić, czy z sąsiadką jest wszystko w porządku?" – pyta 10-latek, słysząc z góry krzyki przypominające sceny z horroru klasy E. Matka z kijem hokejowym zamiast pukania do drzwi wali w sufit. Następnego dnia o czwartej nad ranem budzi się znów. Tym razem wstaje i planuje zemstę. Stosuje piłkę do koszykówki i Metallicę. Przez godzinę. Na pełny regulator.

Sąsiadka wyje. To nie figura retoryczna – to opis z życia kamienicy. Pół godziny zawodzeń. Sąsiedzi najpierw podejrzewają napad, potem orgię. Dzieci płaczą, dorośli nie śpią. W zamian – kartka z apelem, ironiczna, kulturalna, choć z wyczuwalnym zgrzytem zębów. Brak reakcji. Próba sąsiedzkiego kibicowania („dajesz, chłopie!") też kończy się fiaskiem.

„Czy uwagę mamy zwrócić przed, po czy w trakcie?" – ludzie pytają innych ludzi w internecie, próbując wynegocjować z sąsiadami cichsze orgazmy. W PRL-owskim bloku, gdzie dźwięki rozchodzą się szybko i bezstratnie, seks staje się problemem społecznym. „Cieszymy się szczęściem bliźnich" – pisze udręczony internauta – „ale jednak niekoniecznie w godzinach ciszy nocnej, i niekoniecznie z pełnym nagłośnieniem surround".

Nie brakuje pomysłowych form oporu. Od klasycznego walnięcia szczotką w sufit przez odgłosy „przypadkowego" przesuwania mebli o czwartej rano aż po zagłuszanie seksu sąsiadów własnym. A gdy jęki wchodzą w zakres hałasu powyżej poczucia przyzwoitości? Gdy łóżko rytmicznie jak metronom uderza o ścianę? Gdy sąsiedzi zamiast spać, analizują poziom decybeli? Wtedy pojawia się policyjna interwencja. Oficjalne zgłoszenie hałasu. W Krakowie, we Wrocławiu, w Warszawie – wszędzie sąsiedzi wzywają służby. Policja przyjeżdża, a na pytanie: „czy pani krzyczała?" odpowiedź brzmi: „a jak myślicie?".

Ale bywa i sądownie. W jednym z miast kobieta zgłosiła sprawę o naruszenie miru domowego poprzez „nieustanne akty seksualne sąsiadów, których odgłosy uniemożliwiały sen i koncentrację". Sąd umorzył sprawę, jednak zaznaczył: intymność intymnością, ale życie społeczne też ma swoje prawa. Co ciekawe, sędzia w uzasadnieniu nie wykluczył, że „nadmierna ekspresja cielesna może być formą agresji werbalno-akustycznej".

Szklane domy

A teraz wyobraźmy sobie sytuację z drugiego bieguna. Parterowe mieszkanie, wieczór, światło zapalone, rolety – owszem – ale półprzezroczyste. Ona nago, on nago. Sąsiad z naprzeciwka, ojciec dwóch synów, zaczyna czuć, że dzieci „narażane są na demoralizację". Idzie z interwencją. Ona odpowiada z gracją i chłodną pewnością: „To moje mieszkanie. Zamiast ze mną, radziłabym panu porozmawiać z synami. I nauczyć ich nie podglądać".

W teorii – ma rację. W praktyce – sytuacja robi się napięta. Dosłownie i w przenośni. Bo oto rodzi się pytanie, kto ma prawo do moralności w przestrzeni półprywatnej? Czy nagość w domu widoczna z zewnątrz to już ekshibicjonizm? Czy sąsiad patrzący przez lunetę to jeszcze obrońca wartości, czy już stalker?

Polskie prawo, jak zwykle, rozkłada ręce. Prawnicy twierdzą, że uporczywe podglądanie może zostać zakwalifikowane jako nękanie – art. 190a kodeksu karnego. Czyli jak się gapisz za długo, naruszasz prawo. Ale jak się rozbierasz zbyt jawnie, to też problem.

Znane są też przypadki „przypadkowych" filmików nagrywanych z okien, a potem wrzucanych do internetu z ironicznymi tytułami w stylu „Romeo i Julia z ulicy Spółdzielczej". Wówczas sprawa robi się poważna. Bo prywatność prywatnością, ale publikacja to już naruszenie dóbr osobistych. Kilku sąsiadów w Polsce miało przez takie nagrania sprawy w sądzie. Zakończone – warto dodać – wyrokami dla podglądaczy.

Ale żeby było śmieszniej, jeden z przypadków zakończył się pozwem zwrotnym. Bo filmując seksualne igraszki w oknie, ktoś niechcący uchwycił sąsiadkę, która – jak twierdziła – właśnie wieszała pranie. Pozwała za naruszenie wizerunku. Sąd uznał, że jej racja jest ważniejsza niż orgazm sąsiadów.

W innym przypadku – Warszawa, osiedle na Pradze – do sądu trafiła sprawa małżeństwa, które „notorycznie urządzało spektakle erotyczne przy pełnym świetle, w salonie z panoramicznymi oknami". Pozew złożyła wspólnota mieszkaniowa, tłumacząc, że „dzieci z osiedla od miesięcy grają w klasy pod ich oknami".

Para, zapytana przez media, odpowiedziała: „Nie nasza wina, że dzieci są bardziej zainteresowane nami niż swoimi zabawkami".

Oczywiście nie brakuje też „życzliwych sąsiadek", które robią zdjęcia z ukrycia, by potem okrasić je komentarzem na forum osiedlowym: „Czy ktoś jeszcze widział tych dwoje zboczeńców z bloku B? Jak można się tak obnosić?".

Jak można? Otóż można. Tyle że nie bez ryzyka. Bo w sądzie w Radomiu zapadł precedensowy wyrok: mężczyzna, który przez lornetkę obserwował sąsiadkę masturbującą się w łazience, został skazany na osiem miesięcy ograniczenia wolności i prace społeczne. „To nie było podglądanie – tłumaczył – to był przypadek".

Sędzia odpowiedział krótko: „Przypadkiem można spojrzeć raz. Dziesięć razy z rzędu – to już paragraf."

Bo w mieście, w którym okna sąsiadów są bliżej niż ekran telewizora, podglądanie staje się grzechem równie społecznym jak obnoszenie się z nagością. I ani orgazm, ani oko nie mają już pewności, co wolno, a co nie.

Na warszawskim Mokotowie para została poproszona przez wspólnotę mieszkaniową o „zachowanie wstrzemięźliwości w sypialni po godzinie 22.00". W uzasadnieniu pisano: „wielu mieszkańców to osoby starsze, które nie mogą spać przy państwa dźwiękowych uniesieniach". W odwecie para wywiesiła baner: „Miłość nie zna ciszy nocnej".

Na lubelskich forach rodzicielskich można znaleźć całe wątki poświęcone „seksualnej przemocy przez ścianę". „Dziecko się boi spać w swoim pokoju, bo myśli, że obok biją kobietę" – pisze zrozpaczona matka. I choć odgłosy sugerują raczej przyjemność niż przemoc, społeczne oburzenie rośnie.

Katecheza seksualna

W Polsce seks jest dozwolony pod warunkiem, że go nie widać, nie słychać, nie czuć i nikt go nie uprawia. Chyba że po cichu i w celach prokreacyjnych. Najlepiej pod krzyżem.

Kościół, mimo że oficjalnie chce więcej dzieci, uznaje, że seks dla przyjemności to diabelska praktyka. Jak powiedział kiedyś jeden z biskupów, „seks w małżeństwie jest dopuszczalny, ale niekoniecznie wskazany bez intencji rozmnożeniowej".

Ironia polega na tym, że jednocześnie księża grzmią z ambony o niżu demograficznym i z konfesjonału o grzechu nieczystości.

Hipokryzja ta przenosi się na owieczki. Sąsiadów gorszy więc każdy jęk, ale nie gorszy przemoc domowa. Seks staje się skandalem, ale krzyk na dzieci – nie. Matka boi się, że córka zobaczy nagość przez okno i się zdeprawuje, ale pozwala jej grać w gry z przemocą i gwałtem.

Nie pomaga szkoła. Seksualność młodych Polaków kształtują nie nauczyciele, lecz algorytmy TikToka i pornografia z drugiego obiegu. Skutek? Z jednej strony fascynacja, z drugiej – totalne niezrozumienie ciała, granic, przyjemności i wzajemności.

Tymczasem Kościół wciąż swoje. Przekaz z ambony brzmi: „Nie współżyj, zanim się nie pobierzesz. A jak już się pobierzesz – też nie przesadzaj".

Miłość cielesna jest w Polsce jak balet w bunkrze. Można ją uprawiać, ale bez dźwięków, bez światła, bez ruchu. Najlepiej w myślach. A i to nie za często. I dlatego seks w mieście to nie tylko akt fizyczny. To rodzaj oporu. Głośny orgazm staje się deklaracją wolności. Odsłonięte rolety – manifestem odwagi. Jęk przy uchylonym oknie – próbą odzyskania radości życia.

A sąsiadka zza ściany? Może zamiast walić kijem w sufit, powinna się po prostu uśmiechnąć do męża.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Na Wiśle ruszyła akcja lodołamania. Cztery lodołamacze Wód Polskich walczą z lodem na pomorskim odcinku rzeki, żeby udrożnić koryto i zapobiec zatorom. Ostatnie porządne zamarznięcie Wisły odnotowano w Toruniu i Kazimierzu Dolnym 14 lat temu, czyli w 2012 r. W każdym razie dziękujemy lodołamaczom, że przetrwały w dobrym zdrowiu.

▮ W Polsce brakuje pelletu opałowego. To problem dla tych, którzy wymienili piece na pelletowe, zgodnie z przepisami antysmogowymi. Program „Czyste Powietrze" sprawił, że takich gospodarstw jest ponad 400 tys. Składy opału i hurtownie ograniczają sprzedaż, a zamówienia z grudnia nie są realizowane. W sklepach budowlanych pellet jest dostępny tylko w małych ilościach i kosztuje 33 zł za worek. Do ogrzania domu potrzeba dziennie 3–4 takie worki, co kosztuje ponad 100 zł. Z powodu braku pelletu i zaporowej ceny domy nie są w ogóle ogrzewane, a emisja spalin zerowa. Program „Czyste Powietrze" zakończył się podwójnym sukcesem, rzec można.

▮ Mieszkańcy Pułtuska dostali rachunki za ciepłą wodę. Niektórzy zaczęli podejrzewać, że w kranach płynie już nie woda, tylko bulion z truflami. Podgrzanie metra sześciennego kosztuje dziś prawie 230 zł, podczas gdy jeszcze niedawno było to „zaledwie" 170. Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej rozkłada ręce i tłumaczy, że ono sprzedaje ciepło w gigadżulach, a rozliczeniami zajmuje się zarządca budynków. Czyli to nie jego wina. Z kolei Towarzystwo Budownictwa Społecznego zapewnia, że wszystko jest zgodne z taryfą, a rachunki zależą od ilości zużytego ciepła. Czyli to też nie jego wina. Sprawą zajmują się burmistrz i rada miasta. Na razie wychodzi na to, że system działa bez zarzutu, tylko mieszkańcy z jakiegoś powodu mają problem z rachunkami. Aż chce się zapytać: kto tu właściwie kręci lody na tej ciepłej wodzie?

▮ Kraków od lutego postanowił przypomnieć kierowcom, kto naprawdę rządzi. Zmieniono zasady w obszarze płatnego parkowania. Od teraz miasto działa do późna – płacimy od 9.00 do 22.00. W podstrefie A parkowanie jest płatne zawsze – od poniedziałku do niedzieli, bez zbędnych złudzeń. Opłata dodatkowa urosła do 400 zł. Prawdziwy luksus zaczyna się jednak przy miejscach zastrzeżonych. Tu ceny skaczą od 2 do 5 tys. zł miesięcznie w zależności od podstrefy. Kraków tłumaczy, że chodzi o rotację, dostępność i walkę z parkowaniem „na ryzyko". Pozostaje tylko pytanie: czy parkingi są dla kierowców, czy kierowcy dla parkingów? Bo 5 tys. miesięcznie za postój to już nie opłata – to abonament premium. Wychodzi na to, że w Krakowie mieszkają naprawdę zamożne samochody. Niemal tak zamożne jak te w Zakopanem.

▮ PKP Polskie Linie Kolejowe zerwały umowę z Budimexem, który budował tunel średnicowy w Łodzi. To najważniejsza inwestycja kolejowa w Polsce, a Budimex ją spartolił. Zamiast planowanych 14 miesięcy drążenia po 4,5 roku wykonano 1496 m tunelu. Nowe terminy zakończenia budowy przesuwały się na sierpień 2028 r. Do tego doszedł kryzys finansowy Budimexu. W 2025 r. podwykonawcy złożyli 161 wniosków o bezpośrednie płatności na 196 mln zł. PKP PLK zapłaciły im łącznie 250 mln, mimo że wcześniej wypłacono Budimexowi 119. PKP podjęło odważną decyzję, trzeba przyznać. W budowę zainwestowano ponad ćwierć miliarda, budynki nad tunelem się walą, mieszkańcom opłaca się hotele, a lepszego wykonawcy niż Budimex w Polsce nie ma. Czyli budowa może być zatrzymana na nie wiadomo jak długo. Gratulacje dla wszystkich zamieszanych.

▮ Na linii kolejowej między Jasłem a Jedliczem maszynista pociągu PKP Intercity „Bieszczady" omal nie wjechał w grupę uzbrojonych ludzi stojących na torach. Z perspektywy kabiny sytuacja wyglądała groźnie: kilka osób w kamizelkach, z długą bronią w rękach, ustawionych w zwartej grupie na czynnym torze. Po użyciu sygnałów dźwiękowych osoby zeszły z torów, po czym… ponownie na nie weszły, co tylko spotęgowało zagrożenie. Na miejsce skierowano Straż Ochrony Kolei. Dopiero po czasie ustalono, że uzbrojeni mężczyźni nie byli ani formacją specjalną, ani sabotażystami próbującymi zatrzymać pociąg siłą, lecz myśliwymi z Koła Łowieckiego „Jarząbek" w Jaśle. Prowadzili legalne polowanie zgłoszone do Urzędu Gminy Tarnowiec. Słowo „myśliwy" powoli staje się w Polsce synonimem słowa „idiota". I trudno się dziwić, skoro zamiast w lesie polują na torach kolejowych.

▮ Straż graniczna w styczniu złapała przemytników, którzy z Białorusi do Polski przemycali papierosy balonami meteorologicznymi. Zabezpieczono 1,75 mln sztuk za prawie 2 mln zł. Przemytnicy używali balonów napełnianych lekkim gazem i prostych systemów lokalizacyjnych, żeby omijać zabezpieczenia graniczne. Szacujemy, że służby przechwytują od 5 do 30 proc. przemytu. Jeśli przechwycono 30 proc., to nie przechwycono 4 083 333 sztuk. A to oznacza, że cała Białoruś musiała rzucić palenie, żeby tyle papierosów wysłać do Polski.



▮ CBA urządziło sobie łowienie grubych ryb w Urzędzie Miasta Lublin. Siedem osób w kajdankach. Wśród nich same szychy: zastępca prezydenta miasta, dyrektor i kierownik jednego z wydziałów. Prokuratura oskarża ich o przekręty przy organizacji Strefy Kibica Euro 2024. Mieli ustawiać przetargi pod konkretnego wykonawcę, a zastępca prezydenta miał się dodatkowo obłowić biletami VIP. Przedsiębiorcy są podejrzani o zmowy przetargowe, udawanie konkurencji oraz wręczanie i obiecywanie łapówek. W Lublinie pachnie aferą na kilometr.

▮ Nasi wojskowi eksperci nie są zachwyceni południowokoreańskimi czołgami Black Panther. Twierdzą, że maszyny przegrzewają się i zacierają im się silniki, no i zawieszenie szwankuje. Nie mamy też amunicji do dział, bo sami jej nie produkujemy. Całe szczęście. Strach pomyśleć, co by było, gdyby te czołgi zaczęły strzelać. Do Polski dostarczono już 180 Panther. Kolejna umowa przewiduje dostawę następnych 180, a docelowo mamy mieć ich 1000. Za ten interes życia odpowiada były minister Janusz Błaszczak. On się broni, że jak podejmował decyzję, to miał wybór: albo czołgi, które nigdy nie brały udziału w wojnie, bez zaplecza serwisowego i o wątpliwej jakości, albo nie byłoby ich wcale. No cóż, bycie ministrem wymaga trudnych decyzji.

▮ W warszawskim zoo hucznie obchodzono 25. urodziny słonia afrykańskiego Leona, jednego z bardziej znanych mieszkańców ogrodu. Leon urodził się 4 lutego 2001 r. w zoo Ramat Gan w Tel Awiwie. Do Warszawy przyjechał w 2003 r. Waży ponad 6 ton i, prawdę powiedziawszy, wygląda dość staro jak na swój wiek. No ale w zasadzie słonie od urodzenia mają jakieś zmarszczki i w ogóle są jakieś takie fioletowate. Dobrze, że trąbę ma jak się należy, bo przy takim pochodzeniu to różnie mogło się zdarzyć.

▮ W Jaworznie policjant z Sosnowca, po służbie, spowodował kolizję. Uderzył w inny samochód. Uszkodził go i uciekł, nie udzieliwszy pomocy. Poszkodowany ruszył za nim i dzwonił na policję, informując o trasie ucieczki (mamy nadzieję, że miał zestaw głośnomówiący, bo inaczej dostałby mandat). Kilka godzin później gliniarza zatrzymano w Sosnowcu. Okazało się, że służy w IV Komisariacie i ma 13-letni staż. Miał ponad 2 promile alkoholu we krwi. Sosnowiec pozostaje miejscem, w którym granica między stróżem prawa a zagrożeniem bywa wyjątkowo płynna.

▮ Na jednej ze stacji paliw w Płocku policjantka pełniąca służbę patrolową pozostawiła w kiblu pas z bronią służbową, amunicją oraz wyposażeniem, w tym kajdankami i pałką. Zgubę odnalazł pracownik stacji. Powiadomił numer alarmowy 112. Broń została szybko zabezpieczona, a jej stan był kompletny. Jak potwierdziła Komenda Miejska Policji w Płocku, pozostawione wyposażenie należało do funkcjonariuszki Wydziału Patrolowo-Interwencyjnego. Wobec policjantki wszczęto postępowanie dyscyplinarne zakończone karą nagany, czyli: następnym razem proszę spłukać i zabrać broń ze sobą.

RJ

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, czyli z pierwszej ręki, ale nie tej, którą byśmy kładli na serce. My tylko przekazujemy to, co już jeździ po rynku, a za ewentualne rysy na faktach, cofnięte liczniki sensu i lekkie dymienie z prawdy nie odpowiadamy. Niemniej skoro tematy krążyły po prowincji i wszyscy się nim emocjonowali, to uznaliśmy, że warto choć zajrzeć pod maskę.

eprasa.pl 2917610fcc

Wszyscy ludzie Bezosa

Transformacja bez zamachu stanu

Jeff Bezos, jeden z najbogatszych ludzi na świecie i właściciel legendarnego dziennika „Washington Post” – tego, w którym Woodrow i Bernstein obnażali aferę Watergate – zdecydował o zwolnieniu 300 dziennikarzy, czyli blisko jednej trzeciej załogi gazety. „Demokracja umiera w ciemności. Bezos zgasił światło” – niesie się hasło, jak Ameryka długa i szeroka. Przypudrowany troską o finanse zamach na wolność amerykańskiej prasy to ostrzeżenie dla Europy.

Zmierzch

Amerykański przedsiębiorca, założyciel giganta e-commerce Amazon i właściciel firmy kosmicznej Blue Origin swój ruch uzasadnił lakonicznie: „Dane mówią nam, co jest wartościowe i gdzie powinniśmy się skupić”. Wyraził również przeświadczenie, że „Washington Post” ma niezbędną misję dziennikarską i niezwykłą okazję do „ekscytującego, kwitnącego następnego rozdziału”. Redaktor naczelny gazety Matt Murray decyzję właściciela tłumaczy koniecznością ponownego zdefiniowania tytułu na „potrzeby nowej ery”. W komunikacie do zespołu podkreślił, że gazeta nie może być „o wszystkim dla wszystkich”. Pytanie zatem, o czym i dla kogo? Uwalono m.in. zespoły lokalne, 80 proc. działu zagranicznego i cały zespół korespondentów odpowiedzialnych za Bliski Wschód. Pracownicy i byli szefowie (m.in. Marty Baron) decyzję Bezosa nazwali rzezią, morderstwem gazety i jednym z najczarniejszych dni w historii „Washington Post”.

Ogłoszenie masowych zwolnień zbiegło się z premierą filmu o pierwszej damie USA, na który firma Bezosa, Amazon MGM, wyłożyła 75 mln dol. Część komentatorów zwróciła uwagę, że miliarder wolał wydać 75 baniek na Melanię niż na korespondentów wojennych. Legenda amerykańskiego dziennikarstwa, były naczelny „Washington Post” Marty Baron powiedział: „Te decyzje zrujnowały życie dziesiątek utalentowanych reporterów, ale wysyłają wiadomość do jednej osoby na Pennsylvania Avenue 1600”. To – jakby ktoś nie wiedział – adres Białego Domu. Krótko mówiąc, cięcia to sygnał dla Trumpa, że „WP” nie będzie agresywnie śledczy. Czy ruch Bezosa był motywowany strachem przed represjami ze strony administracji prezydenta i ochroną interesów miliardera? Oczywiście, i to nie bez przyczyny.

Dupokracja

Podczas pierwszej kadencji Donalda Trumpa „Washington Post” nie szczędził krytyki przywódcy USA. Gazeta nie tylko publikowała artykuły, które irytowały Biały Dom, ale szczegółowo śledziła i liczyła fałszywe lub dezinformujące wypowiedzi jego głównego lokatora. Zespół Glenna Kesslera, jednego z pionierów nowoczesnego fact-checkingu (sprawdzania faktów) politycznego w USA, dzięki codziennej systematycznej pracy prowadził publiczny licznik kłamstw prezydenta. W styczniu 2021 r., czyli pod koniec pierwszej kadencji,

„Post” opublikował podsumowanie: w ciągu czterech lat prezydentury Trump wygłosił 30 573 fałszywych twierdzeń. Średnio ponad 21 fantasmagorii dziennie. Donald dostawał regularnego wkurwu.



Wielokrotnie atakował gazetę, nazywając ją „Amazon Washington Post”, a jej właściciela oskarżał o polityczne podjazdy. Samego Bezosa w swoich wypowiedziach i tweetach nazywał „Jeff Bozo”. To odniesienie do ikonicznej postaci klauna z amerykańskiego programu telewizyjnego dla dzieci – symbolu głupoty, śmieszności i nieporadności.

Bezos miał to w dupie. Inwestował w gazetę setki milionów dolarów, broniąc jej misji w myśl hasła „Demokracy Dies in Darkness” – demokracja umiera w ciemności – które stało się flagowym sloganem dziennika w 2017 r.

Do czasu.

W październiku 2019 r. Pentagon spuścił po brzytwie platformę Amazon Web Services na ostatnim etapie wartego 10 mld dol. przetargu na chmurę obliczeniową departamentu obrony. Firma Bezosa, jako lider sektora i wykonawca wcześniejszego zamówienia dla CIA, była uważana za faworyta w walce o kontrakt. Mimo to wygrał Microsoft. Bezos miał świadomość, że na decyzji zaważył przede wszystkim kwas z prezydentem. Jeszcze przed powrotem Trumpa do władzy miliarder zmienił więc strategię. W 2024 r. zakazał publikacji artykułu, z którym redakcja udzielała poparcia Kamali Harris. Gazeta straciła przez ten manewr 200 tys. subskrybentów. W 2025 r. Bezos wyłożył milion dolców na inaugurację włodarza kraju, odwiedzał jego rezydencję na Mar-a-Lago i sypnął groszem na film o pierwszej damie. Wlazł na tyle głęboko do okrężnicy Trumpa, że nie skomentował nawet zamachu na I i IV poprawkę konstytucji USA, które rozegrały się na jego własnym prasowym podwórku.

Knebel

14 stycznia br. do domu Hannah Natanson, dziennikarki „Washington Post”, wkroczyło bez zapowiedzi i kurtuazji FBI. Funkcjonariusze przeszukali nieruchomość, skonfiskowali telefon, dwa laptopy (w tym jeden służbowy), smartwatch oraz wszystkie pozostałe nośniki cyfrowe. Natanson od roku wnikliwie zajmowała się burdelem w rządowych strukturach pod wodzą Trumpa. Jej teksty obejmowały tematykę bezpieczeństwa narodowego, czystek w administracji i polityki zagranicznej. W grudniu napisała bogato udokumentowany artykuł „Rok, w którym Trump zrujnował rząd federalny”. Reportaż powstał na podstawie informacji od 1169 urzędników służby cywilnej, będących apolitycznym korpusem administracji. W materiale Natanson przyznała, że chroniła tożsamość informatorów, kontaktując się z nimi przez aplikację Signal.

Według służb obiektem dochodzenia nie była sama dziennikarka, przeszukanie zaś było częścią śledztwa w sprawie nielegalnego przetrzymywania i przekazywania tajnych materiałów przez administratora systemy IT Pentagonu o nazwisku Perez-Lugones. Jednocześnie rząd podkreślił, że Natanson wykorzystała pozyskane na nielegalu materiały w co najmniej pięciu artykułach w „Washington Post”. Sąd Okręgowy w Wirginii wydał tymczasowe postanowienie, zabraniając Departamentowi Sprawiedliwości i FBI przeglądania jakichkolwiek materiałów z urządzeń skonfiskowanych Natanson. Póki co. Nie zmienia to faktu, że fizyczny przetrzep domu dziennikarki przez FBI to pierwszy taki przypadek w historii Stanów Zjednoczonych.

Bruce D. Brown, prezes RCFP (Komitetu Reporterów na rzecz Wolności Prasy) – najważniejszej organizacji non profit zajmującej się obroną wolności pracy i praw dziennikarzy w USA – powiedział, że „to ruch, który zagraża dziennikarstwu interesu publicznego i będzie miał konsekwencje daleko wykraczające poza tę konkretną sprawę”. Działanie służb miało na celu wywołanie efektu mrożącego wśród dziennikarzy. Złamało I poprawkę, która mówi o wolności prasy, i IV – traktującą o ochronie przed nieuzasadnionymi przeszukaniami.

Fala zwolnień w gazecie z początku lutego nie porwała Hannah Natanson. Cóż z tego? Jak trafnie zauważa Glenn Kessler, Bezos nie próbuje uratować „Washington Post”, a przetrwać Trumpa. Po cholerę mu zatem prawdziwi dziennikarze?

Przykład Stanów Zjednoczonych pokazuje, że nawet bez formalnej cenzury i przy stosunkowo niewielkich inwestycjach łatwo dominować nad ekosystemem informacyjnym. Garstka potentatów medialnych chodząca na pasku Trumpa kontroluje platformy mediów społecznościowych, duże grupy wydawnicze i sztuczną inteligencję. Schemat nie jest unikalny dla USA. Spieszmy się doceniać niezależne dziennikarstwo. Ku przestrodze.

IDALIA DUBICKA

Zły Króliczek kontra patrioci

Zwycięstwo w przerwie meczu

Tom Rose, ambasador USA w Warszawie, traktuje Polskę jak kolonię, więc jako naród skolonizowany powinniśmy wiedzieć, czego słucha się w metropolii.

W ostatni weekend ponad 130 mln Amerykanów oglądało finał rozgrywek o mistrzostwo NFL – Narodowej Ligi Futbolu Amerykańskiego. Na stadionie imienia producenta dżinsów Levi’s nad zatoką San Francisco zmierzyły się drużyny New England Patriots oraz Seatle Seahawks. Obok meczu futbolistów toczył się inny pojedynek: między latynoskim raperem Bad Bunnym oraz białym rockmanem Kid Rockiem.

Miliony widzów i cyc

Walka zaczęła się na długo przed finałem. Super Bowl to wielkie wydarzenie sportowo-kulturalne, które Amerykanie oglądają masowo i wspólnie. To także absolutna telewizyjna potęga: lista 20 amerykańskich programów o największej oglądalności wszech czasów składa się z 19 finałów futbolu oraz ostatniego odcinka serialu „M*A*S*H” z 1983 r.

Kiedyś w przerwie meczu występowały głównie orkiestry studenckie. Ale wobec wzrostu oglądalności w telewizji zarządzająca rozgrywkami korporacja dołożyła do emocji sportowych emocje artystyczne: Super Bowl Half Time Show, czyli koncert w przerwie meczu.

Half Time to największe sławy – Michael Jackson, U2, Paul McCartney, The Rolling Stones, Eminem, Rihanna, Jennifer Lopez – a także największe skandale. W 2004 r. Justin Timberlake w tańcu rozerwał stanik Janet Jackson. Koncert transmitowała na żywo telewizja CBS, więc cycek Janet zobaczyło ponad 100 mln osób. Wybuchł skandal, CBS przeprosiła, oburzeni obywatele składali skargi, a Janet Jackson trzeźwo zauważyła, że w telewizji pokazuje się gorsze rzeczy niż jej piersi, takie jak AIDS, głód i wojny. Zwykle jednak Half Time Show jest poprawny i grzeczny.

Kilka miesięcy temu władze NFL ogłosiły, że w przerwie finału Super-Bowl 2026 wystąpi pochodzący z Portoryko Benito Antonio Martínez Ocasio występujący pod pseudonimem Bad Bunny – co można przetłumaczyć jako Zły Króliczek. Dla NFL wybór był czysto biznesowy. Walczy o popularność swojej dyscypliny wśród rosnącej w USA grupy Latynosów, którzy kochają oglądać sport, ale częściej wybierają piłkę nożną.

Trump nazwał wybór artysty „okropnym” i ogłosił, że Benito sieje nienawiść. Sekretarz bezpieczeństwa narodowego Kristi Noem zapowiedziała, że wobec występu Bad Bunny’ego wyśle funkcjonariuszy ICE pod bramy stadionu, aby polować tam na przestępców i nielegalnych imigrantów, którzy go słuchają. Ludzie odpowiedzieli śmiechem, bo tylko najgłupsza policja zapowiada z wyprzedzeniem, gdzie będzie czekać na przestępców.

Aktywiści MAGA zrobili swój alternatywny koncert dla prawdziwych amerykańskich patriotów. Nazwali go All-American, miał być to koncert moralny, patriotyczny i szanujący politykę prezydenta USA. Na gwiazdę wybrali Roberta Ritchiego, znanego jako Kid Rock.

Macho wspiera LGBT

Dlaczego Bad Bunny przeszkadzał konserwatystom i ekipie MAGA? Muzyka słuchają przecież także wyborcy Trumpa, bo słuchają go wszyscy – piosenki Benita biją rekordy popularności i odtworzeń na platformach streamingowych. Jego utwór „Monaco” to jeden z najpopularniejszych motywów muzycznych wykorzystywanych w krótkich filmach na Instagtamie, TikToku i Facebooku.

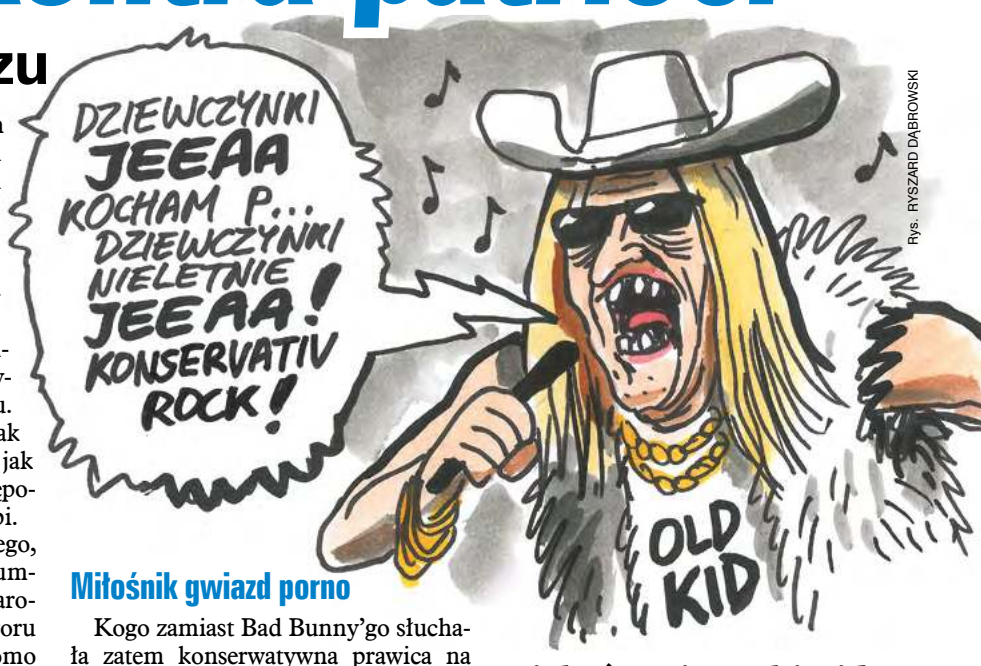
Powodów niechęci do Króliczka jest wiele. Najgłupszy, ale może najważniejszy: Trump, jak sam przyznał, po prostu go nie zna.

Teoretycznie nie powinno to dziwić. 80-letni biali miliarderzy zwykle nie słuchają latynoskiego trapu. Dla wyznawców Trumpa to jednak problem, a i sam Trump oczekuje, jak widać, że na koncertach będą występować tylko muzycy, których zna i lubi.

Trump nie lubi też Bad Bunny’ego, bo Bad Bunny nie lubi polityki Trumpa wobec Latynosów. Muzyk sparodiował prezydenta w klipie do utworu „NUEVAYoL”, gdzie Trump rzekomo przeprasza wszystkich imigrantów i docenia ich wkład w rozwój kraju.

Ruch MAGA nie lubi Bad Bunny’ego, bo rapuje po hiszpańsku, nie po angielsku. Przeklina, śpiewa o miłości i seksie. Seks u Bunny’ego nie zna granic rasowych i państwowych – rapuje o dziewczynach z Kolumbii, Meksyku, Dominikany, a nawet z zepsutej Barcelony. W swoim największym hicie „Titi mi pregunto” („Zapytała mnie ciocia”), śpiewa: „Ciociu, zapytałaś mnie, czy mam dużo dziewczyn. Dzisiaj mam jedną, jutro będę miał inną, ale nie będzie ślubu, nie będzie ślubu, ciociu”…

Benito ubiera się czasem w sukienki, wspiera mniejszości seksualne. Łączy obraz latynoskiego playboya i macho, który zmienia dziewczyny po kilku dniach znajomości, z psychologiczną wrażliwością i empatią pokolenia Z.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Miłośnik gwiazd porno

Kogo zamiast Bad Bunny’go słuchała zatem konserwatywna prawica na patriotycznym show?

Kid Rock śpiewa stylem z pogranicza rocka i rapu, ma 55 lat, szczyt jego sławy przypadał raczej na koniec lat 90. Jest konserwatywny jak Marianna Schreiber, a imprezować lubi ostro jak księża w Sosnowcu.

Jego biogram w Wikipedii w zakładce „życie prywatne” wygląda jak napisy końcowe w filmie porno: był związany z seksbombą Pamelą Anderson, trzema aktorkami porno oraz Paris Hilton – patocelebrytką i dziedziczką hotelarskiej fortuny.

Kid Rock miał swoją sekstaśmę z młodymi fankami po koncercie w 1999 r.; jej płatną dystrybucję przez firmę Dzielnica Czerwonych Latarni udało mu się zablokować w sądzie. Niczym polski konserwatysta ma także dziecko z pozamałżeńskiego związku. Ożenił się kiedyś z Pamelą Anderson, ale szybko się rozmyślił i rozwiódł po trzech miesiącach.

Niektóre piosenki Kid Rocka źle się zestarzały, zwłaszcza w czasach afery Epsteina. W jednym z utworów śpiewa: „Młode dziewczyny, młode dziewczyny, lubię te nieletnie, niektórzy mówią, że to nielegalne, dla mnie to obowiązkowe”…

Konserwatywnej prawicy spod znaku MAGA życie prywatne Kid Rocka nie przeszkadza, co jest w sumie logiczne, skoro nie przeszkadza im Donald Trump. Trudno od podstarzałego rockmana wymagać więcej niż od prezydenta.

eprasa.pl 2917610fcc

Między zdradą a Realpolitik

Delcy Rodríguez: przetrwanie czy koniec chavizmu?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Agnieszka Wołk-Łaniewska ma nadzieję, że Delcy Rodríguez jest wenezuelskim Mannerheimem: realistką, która dla dobra kraju i obywateli akceptuje bolesne kompromisy, żeby z chavizmu ocalić tyle, ile się da, w oczekiwaniu na lepsze czasy („Czy Delcy śpi z Donaldem", „NIE" 2/2026). Czy jest to nadzieja uzasadniona? Trudno powiedzieć.

Bo tak naprawdę nie wiadomo, co dokładnie się dzieje w Wenezueli po amerykańskiej agresji z 3 stycznia. Wiadomości, jakie można znaleźć w mediach – oficjalnych, niezależnych, społecznościowych – są często sprzeczne i bardzo niekonkretne. Poza jednym: nie ma wątpliwości, że porwanie legalnego prezydenta Nicolása Maduro osłabiło obóz chavistowski.

Oto jest głowa zdrajcy?

Social media od dawna sugerują obecnej – tymczasowej – prezydent zdradę i współpracę z Amerykanami. Atmosferę wokół Delcy Rodríguez podgrzał angielski „The Guardian", który w styczniu pisał o jej kontaktach z Amerykanami; miało to mieć miejsce jesienią ubiegłego roku. Do narracji zachodnich należy podchodzić z dużym dystansem – niemniej jest pewne, że do zdrady doszło w najwyższych kręgach władzy.

Delcy Rodríguez wkrótce po objęciu władzy ogłosiła stan wyjątkowy, w ramach którego zarządziła ściganie wszystkich tych, którzy mogli współpracować z Amerykanami. W efekcie 6 stycznia aresztowano generała Javiera Marcano Tábatę, odpowiedzialnego za ochronę prezydenta. Pojawiły się pogłoski, że Kubańczycy – którzy jako jedyni podjęli walkę z agresorem – zostali zastrzeleni przez wenezuelskich gwardzistów na rozkaz Tábaty, co byłoby zdradą najwyższej wagi. Rodríguez poprzestała jednak na jego aresztowaniu i zastąpieniu go generałem Gustavo Gonzálezem Lópezem. Według informacji medialnych prezydent zdymisjonowała sumie 28 wyższej rangi oficerów wenezuelskich, w tym 12 generałów.

28 stycznia w Fuerte Tiuna, w centrum dowodzenia armii wenezuelskiej, odbyła się uroczystość, podczas której wręczono Delcy Rodríguez szpadę Simóna Bolívara – co oznaczało, że stała się ona wodzem naczelnym wenezuelskich sił zbrojnych. Funkcję admirała floty wojennej Wenezueli przejęła Carmen Meléndez, dotychczasowa burmistrzyni Caracas. W ten sposób po raz pierwszy w historii tego kraju naczelne dowództwo wojskowe będą sprawować kobiety. Delcy Rodríguez przeprowadziła także zmiany w gabinecie.

Nowy rząd głosi wierność ideałom Hugo Cháveza – a takie deklaracje wzbudzają gorący aplauz Wenezuelczyków zgromadzonych na placach i ulicach miast. Widać, że wśród rzesz przeciętnych Wenezuelczyków chavizm cały czas trzyma się mocno. Zwolennicy prawicowej opozycji ani razu nie ośmielili się pojawić na ulicach i okazać swojego zadowolenia z porwania Nicolása Maduro. A w wenezuelskich social mediach przebojem stała się piosenka drwiąca z proamerykańskiej opozycji: „Gdzie jest Maria Corina, gdzie jest Edmondo, gdzie są ci wszyscy mali jankesi, którzy mieli rządzić? Delcy Rodríguez jest w Miraflores z ludem i jesteśmy pewni, że Maduro i Cilia powrócą"…

Demonstracją kontynuacji prospołecznej polityki chavizmu była wizyta Delcy Rodríguez w regionie przemysłowo-górniczym i przekazanie 90 mieszkań najuboższym i wielodzietnym rodzinom. Prezydent przedstawiła też plan utworzenia dwóch tzw. funduszy niezależnych. Pierwszy – społeczny – przeznaczony jest na rozwój służby zdrowia, szkolnictwa i nauki oraz zapewnienie wyżywienia; drugi fundusz ma służyć rozwojowi infrastruktury i wykorzystywaniu środków na elektryczność, komunikację, przemysł.

Ucieczka do przodu czy kryptoprywatyzacja

1 lutego Delcy ogłosiła podpisanie kontraktu na dostarczanie skroplonego gazu (GLP) do USA. Oficjalne media w Caracas poinformowały, że Wenezuela po raz pierwszy w swej historii rozpoczęła eksport gazu skroplonego. Niedługo wcześniej, 22 stycznia, parlament wenezuelski pod presją Waszyngtonu przyjął projekt częściowej nowelizacji Ustawy organicznej o węglowodorach uchwalonej w 2006 r. z inicjatywy gen. Hugo Cháveza. Wprowadzone zmiany dotyczą nowych mechanizmów wydobywania, eksportowania i komercjalizacji ropy naftowej i gazu ziemnego. Nowy system ma opierać się na trzech filarach: firmach prywatnych sterujących wydobyciem, uelastycznieniu opłat eksploatacyjnych i zwiększeniu gwarancji prawnych dla inwestorów. Nowe prawo znosi nadzór czynników państwowych – ministerstwa ropy naftowej i głównego dyrektora PDVSA – nad wydobyciem, cenami i sprzedażą ropy naftowej i gazu ziemnego. Państwo zachowuje własność złóż roponośnych, urządzeń wydobywczych i instalacji. Jednakże zezwala ono na eksploatację tzw. pól zielonych – czyli nieużytkowanych jeszcze złóż – przez firmy prywatne celem zwiększenia dochodowości. Państwo zastrzega dla siebie 30 proc. wpływu od wydobytych wolumenów węglowodorów; choć odsetek ten może zostać zredukowany do 20 proc.

W sporach między państwem a firmą prywatną nowe prawo zakłada mediację i proces pod kontrolą czynników niezależnych, ale zgodnych z konstytucją Wenezueli.

Po uchwaleniu nowej ustawy o węglowodorach rząd amerykański zmniejszył sankcje wymierzone w wenezuelski sektor energetyczny. Waszyngton zastrzegł sobie jednak, że wszelka rafinacja ciężkiej ropy wenezuelskiej odbywać się będzie wyłącznie w rafineriach amerykańskich, a płatności związane z ropą i gazem ziemnym będą realizowane w dolarach. W najogólniejszym zarysie – tak ma funkcjonować wenezuelski przemysł energetyczny.

Nowe prawo organiczne o węglowodorach zostało przyjęte jednomyślnie; podniosły się jednak liczne głosy krytyki. Rafel Ramirez, były prezes PDVSA, ostro zaatakował nowe regulacje, stwierdzając, że rząd szuka sposobu na prywatyzację ropy naftowej i zezwala na zalanie gospodarki dolarami, co sprzeniewierza się ideałom Hugo Cháveza. Zarzucił on, że PDVSA zostało sprowadzone do roli agencji administracyjnej, która nie kreuje wydobycia ropy i nie strzeże jej złóż.

Niezależnie od tych krytycznych opinii można się zastanawiać, w jaki sposób Delcy wydobędzie pieniądze niezbędne do realizacji ambitnych projektów społecznych od amerykańskich koncernów – mając do dyspozycji tylko mocno rozmiękczone prawo organiczne. Należy się raczej spodziewać, że gdy amerykańskie firmy energetyczne zaczną korzystać z udostępnionych im złóż, nastąpi orgia korupcji urzędników państwowych, zaś rozczarowane społeczeństwo dostanie tylko resztki. Podobnie wątpliwości ma wielu reprezentantów rządzącej partii PSUV.

Pojawiły się też pogłoski, że Trump zamierza wysłać do Wenezueli oddziały Black Water w celu przejęcia kontroli nad wenezuelskimi złożami ropy naftowej.

Spór o amnestię

Prawo o amnestii „więźniów politycznych" również wywołało wiele zamieszania. Delcy Rodríguez pod presją Waszyngtonu zgodziła się zlikwidować więzienie Helicoide położone na terenie parafii San Pedro w Caracas. W czasach Hugo Cháveza i Nicolása Maduro do Helicoide trafiali – oprócz pospolitych przestępców – głównie opłacani przez Waszyngton i miejscową oligarchię bojówkarze wzniecający krwawe zamieszki na ulicach miast, prawicowi aktywiści oskarżeni o współpracę z obcymi wywiadami, a także obcokrajowcy, których działalność rząd w Caracas uznawał za niebezpieczną.

Zachodnie media przedstawiają Helicoide jako wynalazek chavizmu, stworzony dla znęcania się nad więźniami politycznymi. Zachód zapomina wszakże, że więzienie Helicolide zostało zbudowane w 1960 r. i wykorzystywane było także przez neoliberalnych i zaprzyjaźnionych z Ameryką prezydentów Carlosa Andrésa Peréza i Rafaela Calderę.

Delcy Rodríguez w przemówieniu do parlamentu 30 stycznia mówiła: „Zdecydowaliśmy się zrobić krok do przodu, uchwalając amnestię powszechną, która zamknie okres politycznej przemocy, trwający od roku 1999 do chwili obecnej". Tymi słowami tymczasowa prezydent napiętnowała jako epokę przemocy cały dorobek Hugo Cháveza, Nicolása Maduro i samej siebie – przed 3 stycznia należała do głównych filarów systemu chavistowskiego. W ten sposób Delcy Rodríguez wyprzedziła Marię Corinę Machado, która zapowiadała zamknięcie więzienia po zdobyciu władzy. Wywołało to gwałtowną i gniewną reakcję Diosdado Cabello. Minister spraw wewnętrznych wygłosił krótkie, lecz płomienne przemówienie, a zgromadzeni odpowiadali mu hucznymi okrzykami „Viva Chávez!". Przypuszczalnie te różnice zdań sprawiły, że nie wszyscy spośród 687 osadzonych w Helicoide wyjdą na wolność. Tym niemniej jeszcze przed ogłoszeniem amnestii więzienie opuściły 133 osoby.

Ustawa amnestyjna ukazuje oficjalnie skrywane podziały w grupie rządzącej. Widać opcję ugodową względem Stanów Zjednoczonych z Delcy Rodríguez i jej bratem Jorge Rodríguezem na czele – i ludzi z otoczenia ministra spraw wewnętrznych dążących do zaostrzenia kursu względem USA. Sytuacja polityczna jest więc napięta.

Rewolucja wewnątrz rewolucji

14 stycznia Delcy Rodríguez i Donald Trump odbyli kilkugodzinną rozmowę telefoniczną. 16 stycznia Wenezuelę odwiedził szef CIA, John Ratcliffe. Spotkał się z tymczasową prezydent; efektem tych rozmów jest ponowne otwarcie ambasady amerykańskiej w Caracas. Stosunki dyplomatyczne między obydwoma krajami zostały zerwane w 2019 r. decyzją prezydenta Nicolása Maduro. W Wenezueli zostanie także otwarte centrum działania CIA i prawdopodobnie ambasada Izraela. Relacje z Izraelem zerwał Hugo Chávez w 2008 r. Rząd wenezuelski jest więc osaczany ze wszystkich stron.

31 stycznia do Caracas przybyła nowa ambasador Stanów Zjednoczonych Laura F. Dogu. Nie wróży to dobrze. Dogu była ambasadorką USA w Hondurasie i Nikaragui. Dała się tam poznać z ingerencji w sprawy tych krajów. Podobno Dogu przywiozła ze sobą listę polityków nieakceptowanych przez USA.

W dniu jej przybycia Diosdado Cabello – który nie krył niezadowolenia z otwarcia amerykańskiej ambasady – zorganizował wyrazistą demonstrację: motocyklowy przejazd uzbrojonych Colectivos. Podobno Delcy naciskała na Diosdado, by usunął się z polityki i oddał dowództwo Colectivos. W odpowiedzi miała usłyszeć, że jest zdrajczynią. Wśród Colectivos panuje gniew i rozczarowanie. Niektórzy z nich głoszą hasło: „Rewolucja wewnątrz rewolucji!".

W sumie: wygląda na to, że perfidny plan Waszyngtonu, polegający na stosowaniu indywidualnego terroru względem przywódców wenezuelskich, zdaje egzamin.

W amerykańskim pomyśle system chavizmu ma zostać rozmontowany przez samych chavistów – by utorować drogę do władzy w Caracas płatnym zdrajcom i kreaturom politycznym pokroju Coriny Machado czy faszystowskiego aktywisty Leopolda Lópeza.

Pytanie brzmi: czy Delcy Rodríguez (zakładając, że nie jest zdrajczynią), Diosdado Cabello lub ktokolwiek inny z elity chavistowskiej zdoła wypracować linię polityczną hamującą agresywne kolonialne zapędy Stanów Zjednoczonych – czy też Wenezuela cofnie się w rozwoju i stoczy w otchłań dzikiego neoliberalizmu i kolonialnego uzależnienia.

Odrobinę nadziei można upatrywać w tym, że Delcy Rodríguez – wbrew żądaniom Trumpa – nie zamierza zrywać relacji z Chinami, Rosją, Iranem i Kubą.

ANDRZEJ ULMER

Trump wybrał Króliczka

Sam występ Bad Bunny'ego podczas Super Bowl polityczny wprost nie był, ale artysta zadał klika ciosów polityce prezydenta. Wszystkie utwory zaśpiewał po hiszpańsku, ale po angielsku powiedział „Boże błogosław Amerykę". Następnie wymienił wszystkie kraje obu Ameryk od południa do północy – na samym końcu wspomniał więc USA i Kanadę. Scenografia podczas koncertu nawiązywała do kultury i dziedzictwa Portoryko oraz imigrantów w USA, czyli wszystkiego, czego Trump nie znosi.

Alternatywny koncert All American też był grzeczny i spokojny, Kid Rock szalał na scenie, ale zaśpiewał tylko dwie krótkie piosenki. Na sam koniec prowadzący koncert Jack Posobiec (pochodzący z Polski prawicowy aktywista i influencer promujący na swoich kanałach Trumpa, teorie spiskowe oraz sprzedaż luksusowych poduszek do spania) zadedykował koncert innemu konserwatywnemu aktywiście, Charliemu Kirkowi, zastrzelonemu rok temu podczas wiecu na uczelni w stanie Utah.

Ostatecznie mecz na koncerty wygrał zdecydowanie Zły Króliczek, którego obejrzało rekordowe ponad 135 mln widzów w samych Stanach.

Koncert konserwatywnego Kid Rocka obejrzało w szycie około 4–5 mln widzów na wszystkich platformach.

Donald Trump pilotem zagłosował na występ Bad Bunny'ego. W trakcie meczu napisał w swoim stylu, że koncert „był absolutnie okropny, a z piosenek nikt nie zrozumiał ani słowa". O patriotycznym koncercie na swoją cześć Trump nie wspomniał.

Na estradzie Króliczek wygrał z patriotami, na boisku symbolicznie było podobnie: Jastrzębie z Seattle pokonały zdecydowanie Patriotów z Nowej Anglii 29:13.

LEON ORŁOWSKI

Trumpolandia

Po tym jak antyimigranckie Gestapo, znane pod kryptonimem ICE, zastrzeliło w Minneapolis dwóch obywateli USA, prezydent Trump zaczął od ogłoszenia, że im się należało – ale wobec niejakiego oburzenia swojej własnej bazy zmienił ton. „Nikt w Białym Domu, łącznie z prezydentem Trumpem, nie chce, aby ludzie byli ranieni lub ginęli na amerykańskich ulicach" – ogłosiła ugodowo rzecznika administracji Caroline Leavitt. To doprawdy dobra wiadomość, bo dotychczas wyglądało na to, że prezydent bardzo się cieszy, jak jego Geheime Staatspolizei zabija ludzi, którzy go nie popierają. Sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem postanowiła nawet, że gestapowcy będą nosić kamery nasobne, co prezydent poparł: „To jest w 80 procentach dobre dla służb, bo ludzie nie mogą kłamać o tym, co się naprawdę wydarzyło". Te pozostałe 20 proc. to, jak rozumiemy, sytuacja, w której funkcjonariusz oddaje 10 strzałów w plecy człowieka leżącego na ziemi.

Lider wolnego świata poinformował ów świat, że Ameryka ma nową broń: dyskombabulator. Prezydent Trump przyznaje, że nie wolno mu o tym mówić, ale mimo tego mówi, bo nie może się powstrzymać: otóż to jest taka broń, która dyskombabuluje, i w Wenezueli „wszystko zostało zdyskombabulowane", dlatego wenezuelski system obrony powietrznej nie zadziałał. „To jest moja nazwa, jestem bardzo dumny z tej nazwy" – dodał prezydent.

Federalny sąd okręgowy w Nowym Jorku kazał Trumpowi odmrozić 16 mld dol. przeznaczonych na tunel kolejowy pod rzeką Hudson, łączący Nowy Jork i New Jersey. Finansowanie tunelu zatwierdził kongres za czasów Bidena, ale Trump jesienią ogłosił, że odbiera finansowanie projektom, „które mu się nie podobają". Szczególnie nie podobają mu się projekty nowojorskie, bo Nowy Jork z uporem głosuje na demokratów, a w listopadzie wybrał na burmistrza Zohrana Mamdaniego, którego Trump uważa za komunistę. Teraz okazuje się wszakże, że jest wyjście. Otóż prezydent USA uwolni fundusze, jeśli pochodzący z Nowego Jorku szef senackiej mniejszości Chuck Schumer przemianuje lotnisko Washington Dulles na lotnisko Trumpa, a stację kolejową Pennsylvania na Trump Station. Schumer upiera się, że nie ma takich uprawnień.



Za to słynne na całym świecie waszyngtońskie Centrum Sztuk Scenicznych im. Johna F. Kennedy'ego Trump już przemianował na „Centrum Trumpa-Kennedy'ego" po tym, jak mianował sam siebie szefem rady centrum. Kilkudziesięciu artystów i producentów scenicznych zerwało umowy z centrum i przeniosło swoje występy do innych obiektów. W odpowiedzi prezydent ogłosił, że centrum zamyka na dwa lata w celu renowacji. Strata dla życia kulturalnego stolicy USA jest niewielka, bo po wkroczeniu Trumpa sprzedaż biletów na wydarzenia w centrum spadła o połowę i spada dalej. Jednym z ostatnich doniosłych wydarzeń przed zamknięciem była premiera filmu „Melania".

AWŁ

Rys. MAURIZIO DI BONA

eprasa.pl 2917610fcc

Dlaczego naprawdę Ameryka napadła Wenezuelę

Dolary albo śmierć

Pod koniec stycznia Donald Trump ogłosił, że gospodarka Wenezueli zostanie całkowicie zdolaryzowana. Narodowa waluta wenezuelska, bolivar, będzie zupełnie wyeliminowana. Oświadczenie amerykańskiego prezydenta, aczkolwiek niezbyt często powtarzane przez oficjalne media, ma fundamentalne znaczenie.

Gabriel Santiago Cúneo, działacz peronistowski z Argentyny, zauważa, że agresja amerykańska na Wenezuelę jest związana z próbami wzmocnienia i ratowania dolara. Umocnienie dolara ma dla Stanów Zjednoczonych fundamentalne znaczenie, gdyż od odejścia od parytetu złota w 1971 r. dolar powoli, ale systematycznie słabnie.

Sytuacja dolara w Wenezueli – a więc w kraju o największych zasobach ropy naftowej na świecie – była jedną z największych bolączek kolejnych amerykańskich rządów. Kłopoty zaczęły się w 2017 r., kiedy prezydent Maduro, zniecierpliwiony amerykańskimi działaniami zmierzającymi do rozbicia bolivara i obalenia jego rządu, ogłosił odejście od sprzedaży wenezuelskiej ropy za dolary. Od tegoż momentu Wenezuela zaczęła sprzedawać ropę za juany, ruble i euro.

By uniknąć odwetowych sankcji amerykańskich w 2018 r., rząd w Caracas ogłosił powstanie kryptowaluty petro. W odpowiedzi Waszyngton zabronił amerykańskim firmom dokonywać zakupów w tej kryptowalucie. Nicolás Maduro, by zapewnić sprzedaż ropy w petro, przystąpił do chińskiego systemu rozliczeniowego CIPS (Cross-Boredr Interbank Payment System), a w 2019 r. przedsiębiorstwo PDVSA zaczęło dokonywać sprzedaży ropy także za pośrednictwem rosyjskiego systemu MIR.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

W 2020 r. nastąpiło przejściowe wzmocnienie dolara na rynku wenezuelskim. Nie był to jednak trend trwały. Nicolás Maduro był zdecydowany na odejście od dolara i uniezależnienie się od amerykańskich sankcji gospodarczych. W 2023 r. przedsiębiorstwo PDVSA realizowało już transakcje w kryptowalucie Tether USDT. W pierwszych miesiącach 2024 r. PDVSA zaczęło obligować swoich klientów do rozliczania się w USDT. W lipcu 2024 r. PDVSA kontynuowało sprzedaż ropy za USDT, a Banco Central de Venezuela z powodzeniem wyprzedawał po 119 mln dol. amerykańskich miesięcznie.

Proces eliminowania dolara w 2024 r. wyraźnie przyspieszył. W 2025 r. 80 proc. wpływów uzyskiwanych przez PDVSA pochodziło ze sprzedaży w USDT przy jednoczesnym pomijaniu dolara. W grudniu 2025 r. PDVSA na sprzedaży ropy osiągało zysk 50–60 mln dol. dziennie. Pomimo amerykańskich sankcji, dzięki stosowaniu kryptowaluty, wenezuelski Produkt Krajowy Brutto wzrósł ze 102,4 mld dol. w 2023 r. do 119,8 mld w 2024.

Na przełomie 2025 i 2026 dolar amerykański był w 99 proc. wyeliminowany z wenezuelskiego rynku energetycznego. Około 80 proc. wenezuelskiej produkcji ropy było sprzedawane do Chin. 1 stycznia 2026 r. przedsiębiorstwo PDVSA zaczęło sprzedawać ropę za juany cyfrowe.

Takie działania postawiły wenezuelskiego prezydenta w jednym szeregu z takimi zamordowanymi przywódcami jak Saddam Husain i Muammar al-Kaddafi, którzy wcześniej próbowali odciąć się od amerykańskiej waluty.

Nic więc dziwnego, że 3 stycznia prezydent Maduro stał się ofiarą amerykańskiego ataku terrorystycznego.

Należy zwrócić uwagę na gigantyczne zadłużenie Stanów Zjednoczonych wynoszące obecnie 38 bln dol. Takiego zadłużenia – mającego tendencję rosnącą – Ameryka nigdy nie spłaci. W 2024 r. Arabia Saudyjska odmówiła podpisania corocznie odnawianej umowy o sprzedaży ropy saudyjskiej wyłącznie za dolary. Był to mocarny cios w finanse Waszyngtonu. W ten sposób rozpadł się tzw. petrodolar, będący jednym z fundamentów amerykańskiej waluty, która i tak coraz bardziej słabnie.

Na Politycznej Konferencji Partii Konserwatywnych w Waszyngtonie na przełomie lutego i marca 2024 r., prezydent Salwadoru Nayib Bukele wypunktował wszystkie słabości i błędy amerykańskiego systemu finansowego. Wykazał, że jedyną podstawą drukowania dolarów przez Rezerwę Federalną są bony skarbowe emitowane przez Departament Skarbu USA. „Papier za papier" – stwierdził Bukele. „Amerykański rząd produkuje pieniądze z niczego, czymże jest więc system finansowy Stanów Zjednoczonych? To tylko spekulacyjna bańka, piramida finansowa, która zgodnie z jej naturą pęknie. Nie wiadomo kiedy to nastąpi, ale nastąpi na pewno. Gdy bańka pęknie i upadnie dolar, razem z nim upadnie cała cywilizacja Zachodu!"…

Należy zwrócić uwagę, że żaden z obecnych na sali neokonserwatystów i neoliberałów nie protestował.

Powstaje pytanie, skąd się bierze ten ogromny dług? Jest to cena amerykańskiej walki o hegemonię nad światem.

Gdy do takiej kondycji dolara dodamy mało optymistyczny stan amerykańskiej gospodarki – przestarzała, rozsypująca się infrastruktura, poszerzające się pole ubóstwa, zwiększające się zwolnienia z pracy realizowane także przez potężne firmy jak Amazon czy Nestlé, nieudolny, oparty na zasadach wolnego rynku system ochrony zdrowia, tendencje separatystyczne w stanach Teksas i Kalifornia, wzrost niezadowolenia społecznego, koniec mitu American dream etc. – zrozumiemy, dlaczego prezydent Trump tak bardzo pragnął Wenezueli. Pełna kontrola wenezuelskich złóż ropy oraz rozszerzenie bezpośredniego oddziaływania dolara poprzez wprowadzenie go na rynek Wenezueli stworzy podstawy do umocnienia amerykańskiej waluty i do odrodzenia petrodolara, a tym samym może wydłużyć życie amerykańskiego imperium. W istocie rzeczy nie jest istotne, że inwazji na Wenezuelę dokonał Trump. Prędzej czy później zrobiłby to jakikolwiek inny prezydent Stanów Zjednoczonych.

Co natomiast dolaryzacja oznacza dla Wenezuelczyków? Zdaniem wenezuelskiego profesora ekonomii José Guerry oznacza ona korzyści dla najbogatszych, pogłębienie nierówności społecznych i znaczące pogorszenie warunków życia wielu milionów biedniejszych obywateli Wenezueli.

ANDRZEJ ULMER

Życie W DOBROBYCIE

● Czytamy od miesięcy, że PKB rośnie, a miliardy z KPO rozpędzają gospodarkę. Problem w tym, że gdy człowiek traci pracę, to ani PKB, ani KPO do portfela mu nie zaglądają. A na koniec grudnia stopa bezrobocia rejestrowanego wyniosła 5,7 proc. To niby tylko o 0,1 punktu procentowego więcej niż miesiąc wcześniej, ale w praktyce oznacza, że w Polsce przybyło bezrobotnych. W pośredniakach zarejestrowanych było 888,6 tys. osób. O 15 tys. więcej niż w listopadzie i aż o 102,5 tys. więcej niż rok wcześniej. Resort pracy uspokaja. „Grudzień zwykle jest miesiącem wzrostu liczby bezrobotnych" – czytamy w komunikacie. Tyle że w tym „normalnym" grudniu liczba ofert pracy zgłoszonych do urzędów spadła o 18,8 proc. miesiąc do miesiąca i aż o 66,2 proc. w porównaniu z grudniem 2024 r. Pracodawcy zgłosili zaledwie 20,3 tys. wolnych miejsc pracy i aktywizacji zawodowej. Przy niemal 900 tys. bezrobotnych brzmi to jak żart bez puenty. Najwięcej osób, które w grudniu trafiły do rejestrów bezrobotnych, pochodziło z przetwórstwa przemysłowego – 13,6 proc. Zaraz za nim znalazły się handel hurtowy i detaliczny – 12,9 proc. Dalej budownictwo – 7,9 proc. Czyli dokładnie te branże, które według opowieści władzy o „rozkręcającej się gospodarce" miały ciągnąć wzrost. Listę zawodów otwierają sprzedawcy – 7,5 proc. napływu bezrobotnych. Dalej kucharze, magazynierzy, mechanicy samochodowi, robotnicy gospodarczy, fryzjerzy, pomocniczy robotnicy budowlani, ślusarze, technicy ekonomiści i pracownicy produkcji. Krótko mówiąc, zwykli ludzie od zwykłej pracy, i to takiej, której AI nie zastępuje. Można więc jednocześnie mieć wzrost PKB, miliardy na slajdach i rosnące bezrobocie w urzędach pracy, ale jak się traci pracę, to PKB nie dzwoni. A KPO nie wysyła przelewu.

● Jeszcze nie tak dawno Kraków lubił opowiadać o sobie jako o mieście, do którego „ściągają największe firmy technologiczne", gdzie „pracują najlepsi specjaliści", a „młodzi nie muszą wyjeżdżać za chlebem". Dziś coraz trudniej znaleźć kogoś, kto jeszcze chce w to wierzyć. Z danych Grodzkiego Urzędu Pracy wynika, że od stycznia do listopada 2025 r. pracę pod Wawelem straciło blisko 2,9 tys. osób objętych wnioskami o zwolnienia grupowe. Takie wnioski złożyły 33 firmy. Lista wygląda jak katalog „nowoczesnej gospodarki". Zwolnienia pojawiły się w usługach księgowych i doradztwie podatkowym, w przetwarzaniu danych i hostingu, w technologiach informacyjnych, a nawet w produkcji komponentów elektrycznych do pojazdów. Urzędnicy pracy przyznają, że to, co trafia do oficjalnych statystyk, bywa tylko wierzchołkiem góry lodowej, bo „rzeczywista liczba zwolnień często przewyższa pierwotne plany zgłaszane przez pracodawców". Innymi słowy: firmy najpierw obiecują, że zwolnią mniej, a potem zwalniają więcej. Rośnie bezrobocie wśród mieszkańców Krakowa do 30. roku życia. W mieście, które miało być magnesem dla talentów i miejscem „pierwszej dobrej pracy po studiach".



Ilustr. PAWEŁ FERENC

● System kaucyjny, który wszedł w życie 1 października 2025 r., miał zrewolucjonizować recykling. Tymczasem według danych branżowych do przeróbki wraca dziś ledwie co piąta butelka, za którą klienci zapłacili kaucję. Oznacza to, że 80 proc. opakowań ląduje tam, gdzie wcześniej, czyli w koszu albo obok kosza. Kaucja przestaje być zachętą, ale rząd może spać spokojnie, bo unijne powinności spełnił. „Mam wypieszczony dom i nie będę gracić go butelkami. Tym bardziej że butelkomat jest ciągle zepsuty" – opowiadają mediom uczestnicy sond ulicznych. Bo w wielu dzielnicach Warszawy, Krakowa czy Wrocławia butelkomaty częściej nie działają, niż działają. Kartki z napisem „nieczynny" wiszą tygodniami, a pod maszynami rosną sterty porzuconych butelek. Ludzie przynoszą je z nadzieją na odzyskanie 50 gr, a wychodzą z poczuciem straty czasu. Bo trzeba przynieść butelki, włożyć je do maszyny, odebrać bon i pójść z nim do kasy. Dla wielu ludzi to za dużo zachodu. Zwłaszcza gdy alternatywą jest zwykły kosz na śmiecie. „Nikt nie widzi sensu chodzenia po mieście z puszką, żeby odzyskać 50 groszy" – mówi mediom manager jednej z restauracji w centrum stolicy, gdyż restauratorzy też są w kropce. Od października większość napojów trafia do nich już z kaucją, ale małe lokale nie mają obowiązku przyjmowania pustych opakowań. Klienci więc zgniatają butelki i wyrzucają je do kosza. System teoretycznie działa, praktycznie go nie ma. Są sieci, które machnęły na to ręką. Rossmann oficjalnie przyznał, że nie będzie uczestniczył w systemie kaucyjnym i po prostu wycofał napoje objęte kaucją ze sprzedaży. W grudniu 2025 r. sprzedawano je za 0,99 zł, żeby tylko zniknęły z półek. Zniknęły błyskawicznie. Problem razem z nimi. A kaucja miała motywować. Nie motywuje, tylko irytuje. Butelkomaty miały działać. Nie działają. Zostało za to stare, dobrze znane poczucie, że system jest, ale po co, nie wie nikt.

● Za rządów PiS reklamy spółek skarbu państwa płynęły szerokim strumieniem do tytułów „słusznych", a te rosły w siłę i puchły od milionów złotych. W mediach propisowskich nikt nie słyszał o „optymalizacji zatrudnienia". Redakcje sprzyjające obozowi władzy nie liczyły etatów, tylko wpływy. Zmieniła się władza i czar prysł. I teraz nawet Agora, symbol medialnej potęgi i moralnej wyższości, dostała zadyszki. Spółki zależne Agory, „Wyborcza", Gazeta.pl oraz Eurozet Consulting ogłosiły zwolnienia grupowe. W samej „Wyborczej" do 60 osób. W Gazeta.pl do 63. W Eurozet Consulting do 13. Do tego dochodzi sama Agora – do 20 osób – oraz Grupa Radiowa Agory i Eurozet, gdzie pracę straci łącznie do 10 ludzi. Razem 166 pracowników, czyli 6,56 proc. załogi – co 18. pracownik. Jak na ironię wszystko to kosztować ma Agorę około 11,7 mln zł rezerwy. Czyli żeby oszczędzać, najpierw trzeba zapłacić. Władze spółki przyznały: „przyczyną przeprowadzenia zwolnień grupowych jest transformacja obszaru cyfrowej działalności Grupy Kapitałowej Agora, która w obecnym modelu funkcjonowania nie jest efektywna". W wolnym tłumaczeniu: pieniędzy jest mniej, a ludzi było za dużo. Dodano też, że likwidowane są stanowiska „o powielającym się zakresie obowiązków". Jeszcze ciekawsze jest zdanie o dostosowaniu się „do realiów rynkowych oraz możliwości finansowych". Realiów, które wcześniej jakoś nie przeszkadzały. Możliwości, które kończą się tam, gdzie kończy się państwowa reklama. I tu wracamy do czasów PiS. Wtedy media sprzyjające władzy nie zwalniały. One rosły. Reklamy lały się strumieniami, a miliony krążyły jak w obiegu zamkniętym, ale dzięki tej kasie PiS ma do dziś gigantyczne wsparcie medialne. I w przeciwieństwie do obecnie rządzących dzięki temu idzie po zwycięstwo za dwa lata.

● Europejska motoryzacja podobno leży. Fabryki podobno stoją, bo z jednej strony cła Trumpa, z drugiej ekologia, a z trzeciej Chińczycy. Media od miesięcy opowiadają więc historię o końcu przemysłu samochodowego na Starym Kontynencie. I w tym krajobrazie Mercedes-Benz Manufacturing Poland nie tylko nie zwija manatków, ale chce coś dołożyć. Jego zakład w Jaworze działa od 2017 r. Najpierw robił czterocylindrowe silniki benzynowe i diesle, potem dorobił się linii produkującej baterie elektryczne do samochodów osobowych. Na sam zakład Mercedes wyłożył dotąd ok. 600 mln euro, czyli mniej więcej 2,5 mld zł. Jak na firmę, która rzekomo „ledwo zipie", to całkiem przyzwoity oddech. Teraz zaś niemiecki koncern planuje kolejną inwestycję. Koszt? Ponad 25 mln euro, czyli około 105 mln zł. Kwota, która przez część mediów została rozdmuchana do rozmiarów niemal epokowych. Tymczasem w skali globalnego koncernu to raczej drobne. Powstanie nowa hala, specjalny łącznik z istniejącymi budynkami i rozwiązania, które – jak to się ładnie mówi – „zoptymalizują łańcuch dostaw". Czyli po ludzku: będzie łatwiej dowozić, składować i produkować. W Jaworze pracuje dziś ponad tysiąc osób. Po tej inwestycji mają powstać setki nowych miejsc pracy. I to w czasach, gdy większość komunikatów prasowych zaczyna się od słów „restrukturyzacja zatrudnienia", a kończy na „redukcji etatów".

TTJ

eprasa.pl 2917610fcc

Sałata bez pokrycia

Mój manifest antyamerykański



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Szanowni Państwo, czas zdjąć maski i spojrzeć prawdzie w oczy. Mamy do czynienia z problemem, który urasta do rangi etycznego globalnego skandalu. Problem ten, choć oddalony od nas geograficznie, coraz śmielej puka do naszych drzwi. Amerykanie? Złodzieje! Tak, proszę Państwa, to nie pomyłka.

Złodziej na złodzieju

Mówię to z pełną odpowiedzialnością i z autopsji. Stany Zjednoczone to jedyne miejsce na świecie, w którym jeśli człowiek nie został choć raz dziennie okradziony, to znaczy, że naprawdę nie wyszedł z domu. Albo wyszedł, ale tylko do garażu, żeby sprawdzić, czy jeszcze ma koła. Okrada sprzedawca w sklepie spożywczym, bo cena na półce jest „plus tax" – a jaki ten tax, to już loteria. Myli się kasjer przy wydawaniu reszty w fast foodzie, zawsze w jedną stronę – w stronę jego kieszeni. Pracodawca „źle policzy godziny", bank „źle zinterpretuje regulamin", a operator usług wytłumaczy ci fakturę tak twórczo, że masz ochotę podpisać aneks, przeprosić i jeszcze coś dopłacić – na wszelki wypadek. Kierowcy potrafią odjechać spod dystrybutora bez płacenia, ale spokojnie! Same dystrybutory są wyskalowane tak, jakby galon miał jakieś prywatne, autorskie 3,5 litra. A w rzeczywistości amerykański galon ma dokładnie: 3,78541 litra. Ale kto by się przejmował drobiazgami?

Jeśli dziś patrzysz na polską fakturę za telefon i zastanawiasz się, kto, kiedy i za co dokładnie bierze od ciebie pieniądze, wiedz: to import kulturowy z tego samego kierunku co hamburger. Bo robienie klienta w konia nie jest tam patologią. To model biznesowy.

Siódme przykazanie poszło na wakacje

Europejczykowi trudno to ogarnąć. Stoi taki pod neogotyckim kościołem metodystów w Bostonie, patrzy na witraże, słucha organów i zaczyna się zastanawiać: czy oni tam mają tylko dziewięć przykazań? Bo wygląda na to, że siódme – „Nie kradnij" – amerykańscy chrześcijanie jakoś sobie cichaczem wykreślili.

Ale to nie efekt nowoczesnej dekadencji. To dziedziczne. Historycznie uzasadnione. Stany Zjednoczone zbudowano na fundamentach, które od początku pachniały cudzym potem, cudzym zbożem i cudzą krwią. Najpierw była ziemia. Ukradziona rdzennym mieszkańcom z użyciem pełnej procedury: najpierw „traktat", potem koc z ospą, potem kawaleria. Potem była robota – czyli czarni, kradzeni w Afryce jak bydło, wyceniani na sztuki i przewożeni w warunkach gorszych niż towar masowy.

Amerykańska kleptomania

Kradli, kradną i kraść będą. Jak się raz zacznie, to trudno przestać. W 1845 r. Stany Zjednoczone przygarnęły Kalifornię, Nevadę, Utah, Arizonę i kawałki Kolorado, Nowego Meksyku i Wyoming. Bo akurat leżały pod ręką i trochę się nudziły pod meksykańskim butem. Potem przyszła kolej na Hawaje w 1898 r. Dalej? Zasoby naturalne krajów Trzeciego Świata – bo przecież nie będą się marnować w glebie! Szpiegostwo gospodarcze – bo Google też musi mieć z czego żyć, prawda? Drenaż mózgów, czyli import talentów z krajów, które tych ludzi kształciły, a niech tam! Nieuczciwe umowy handlowe, czyli „albo kupujesz, albo nie sprzedajesz nigdzie". Ot, wolny rynek po amerykańsku. Republiki bananowe – z robotą przy bananach dla ludności i dolarami dla spółek. Sprawiedliwy podział, nieprawdaż?

Buldożerem, bombą i umową handlową

Nie zapominajmy o Kanale Panamskim zbudowanym z elegancją buldożera, o Wietnamie, któremu nie dało się wytłumaczyć, dlaczego wojna o komunizm odbywa się 13 tys. km od Waszyngtonu, oraz o Iraku i Syrii, które były na trasie surowców i geopolitycznych objawień.

A kiedy zabrakło rzeczy do zabrania na Ziemi, Amerykanie sięgają wyżej. Dziś można sobie kupić działkę na Księżycu. Sprzedają ją Amerykanie. Jakby to oni go odkryli.

Na końcu karuzeli mamy korporacje z USA. Wykorzystują lokalną pracę, lokalny rynek, lokalne drogi, lokalną cierpliwość. Transferują zyski do Delaware albo na Kajmany, zostawiając tubylcom zużyty asfalt, depresję i smog (oraz łapówki).

Made in USA: czołgi, Facebook i dziura w portfelu

Piszę nie bez powodu, bo jak sądzę – fakt ten mógł umknąć tym, którzy nie czytują prasy biznesowej, a jeszcze nie zauważyli dziury w portfelu.

Otóż: dolar zaliczył największy zjazd od ośmiu lat, lądując w okolicach 3,5 zł. Poziom ten ma jedną szczególną właściwość: każdy, kto – jak autor tych słów – zainwestował przy kursie „cztery z groszem", może dziś poczuć się długoterminowym sponsorem amerykańskiej gospodarki. Na tym jednak nie koniec. Deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych osiągnął poziom najwyższy od 1995 r. – z czasów, gdy internet wył przez modem, a topowym gadżetem był długopis z czterema kolorami.

Teoretycznie słaby dolar powinien pomóc amerykańskiemu eksportowi. Ale co właściwie Stany jeszcze eksportują? Kto w Polsce widział ostatnio coś z napisem „Made in USA", poza czołgiem Abrams za 45–55 mln zł albo F-16 za 200–250 mln? No dobrze – są jeszcze Google i Facebook. Ale to nie eksport, tylko cyfrowy drenaż: danych, uwagi i budżetów reklamowych. To nie zasila żadnej gospodarki – poza kalifornijską.

1,82 mld powodów, by nienawidzić Facebooka

To doprawdy ogromne dobrodziejstwo. W 2024 r. Facebook wyciągnął z kieszeni polskich przedsiębiorców 1,82 mld zł przychodów brutto. Google – według analiz rynku – nieco mniej: około 1,53 mld z reklam w wyszukiwarce.

A ja, proszę Państwa, leję łzy nad własną branżą. Polskie media, z całym swoim ciężarem redakcji, kosztów i odpowiedzialności, ledwo zipią. Wydawców nie stać już na ubezpieczenia, nie mówiąc o inwestycjach. Składki ZUS – poleciały za ocean razem z budżetami reklamowymi.

W skrócie: Amerykanie eksportują wszystko, czego nie da się zważyć, a importują wszystko, co da się zjeść, założyć, postawić na półce lub zatankować.

Pijana historia globalnej waluty

Jak to się mogło stać i jak mogło do tego dojść? Rozpoczęło się w roku 1944, kiedy finansiści zwycięskich – a przynajmniej już prawie zwycięskich – mocarstw zjechali się do amerykańskiej dziury zwanej Bretton Woods, by ustalić nowy porządek finansowy świata po rozpadzie III Rzeszy. Na stole były dwie waluty: dolar lub rubel. Rubel – jako potencjalna waluta globalna – miałby jakieś szanse, gdyby nie delegacja radziecka, która według relacji historycznych była permanentnie pijana*. Whisky była za darmo, towarzysze korzystali. Amerykanie nie pili. Amerykanie liczyli. I przeforsowali, że dolar stanie się walutą światową. W zamian USA zobowiązały się, że każdy dolar będzie wymienialny na złoto po stałym kursie – 35 dol. za uncję**. I trzeba przyznać – to jeszcze nie było tak źle.

Oszustwo Nixona

System z Bretton Woods wytrzymał do początku lat 70., kiedy prezydent Richard Nixon – delikatnie mówiąc, nienajwybitniejsza postać w galerii amerykańskich przywódców – ogłosił światu, że Stany Zjednoczone zawieszają wymienialność dolara na złoto. Po prostu. Decyzją administracyjną. Bez konsultacji z ONZ i resztą planety, która trzymała w sejfach miliardy tych dolarów.

To była zmiana fundamentalna***. Od tamtej chwili dolar stał się walutą wiary – wiary w amerykański sen, który jest równie realny jak Disneyland: kraina cukierkowej fikcji, infantylnej rozrywki i ucieczki od problemów, które Ameryka sama stwarza.

W praktyce oznaczało to jednak iż: Stany Zjednoczone mogły za papier ze swojej drukarni kupować na świecie wszystko – ropę, towary, technologie i pracę innych narodów.

Amerykański pasożyt

Ten stan trwa do dziś: żaden deficyt ani deprecjacja dolara nie spędza Amerykanom snu z powiek. Tańszy dolar? Nie szkodzi. Można dodrukować, ile trzeba. Deficyt? Mhm – makulatury u nich pod dostatkiem, a reszta globu grzecznie ją skupuje.

Tak narodziło się pojęcie jak najbardziej naukowe: *exorbitant privilege* – bezczelny przywilej. USA przywłaszczyły sobie wyjątkowe prawo do emitowania waluty świata i przerzucania kosztów własnych kryzysów na cudze podwórka. Inni muszą zarabiać eksportem, zaciskać pasa i bilansować handel. Ameryka – konsumuje i roluje dług.

Obnażył amerykański egoizm

Problem długo byłby jeszcze przemilczany, zamiatany pod dywan i pudrowany hasłami o „wspólnej odpowiedzialności za świat", gdyby nie bezczelność Donalda Trumpa: Światowa Organizacja Zdrowia? No błagam was! Ja płaciłem, Ameryka płaciła, a Chińczycy? Nietoperze, wirusy, laboratoria – niech teraz oni płacą. Ja mówiłem od początku, to była katastrofa! Grenlandia? Piękna wyspa, dużo lodu, dużo zasobów. Czy można ją przejąć? Można. Wszystko można, jak się ma głowę do interesów. Obama by nie umiał. A te wszystkie bazy w Niemczech, Japonii, Korei Południowej? To nie są żadne darmowe obozy skautowskie. My bronimy, my płacimy, my ryzykujemy. A oni? Oni nie płacą! A powinni. Bo jak chcesz bezpieczeństwa – to musisz bulić. Proste. I niech mi nikt nie mówi, że Ameryka sama coś zaczęła. My nie zaczynamy – my kończymy. I robimy to najlepiej. A jak ktoś chce ochrony – to niech sięgnie do portfela. Koniec frajerstwa. *America First!*

Ale wiecie… w gruncie rzeczy to jest pewne dobrodziejstwo.

Donald Trump – ze swoją subtelnością walca drogowego – otworzył światu oczy. Pokazał to, co przez dekady było owinięte w celofan sojuszy, deklaracji i kurtuazji: że mit moralnej wyższości to często tylko dobrze opłacona narracja, a nawet najświętsze sojusze nie są wolne od grzechu.

To moment, w którym świat musi wreszcie zadać niewygodne pytanie: dlaczego właściwie ma dalej finansować cudzy styl życia, cudzy deficyt, cudzy sen o imperium bez granic?

Rachunek za naiwność

Właśnie teraz, bez względu na historię, zaszłości i polityczne sentymenty, Europejczycy mogą wreszcie zapytać: o co w tym wszystkim chodzi? Kto tu jest dobry, a kto tylko dobrze ubrany? Dopiero teraz, kiedy rachunek zaczyna boleć jak cholera, pojawia się refleksja, że może system był nie tylko niesprawiedliwy, ale i śmiesznie naiwny. Byliśmy frajerami? No pewnie, że byliśmy! Amerykanie mogą sobie kupić całą Europę i jeszcze im zostanie na waciki.

Bojkot

Dość tego! Czas na zmianę paradygmatów, dogmatów i perspektyw. Czas chwycić za szable i ruszyć na Waszyngton! No dobrze – może niedosłownie. Ale czas przynajmniej odpiąć się od kroplówki. Bojkotujmy. Wszystko. Od zaraz.

Nie klikamy w Facebooka! Nie googlamy! Nie oglądamy Netflixa! Nie jemy w McDonaldzie, nawet frytek! Nie dotykamy iPhone'a, chyba że celem rozbrojenia. Nie wchodzimy na Pornhuba (trudne, ale symboliczne).

Nie korzystamy z Ubera, nie lajkujemy niczego z Kalifornii. Nie będzie Jankes pluł nam w twarz, ni dzieci nam pixelizował!

Zamykamy konta, kasujemy aplikacje, wyłączamy algorytmy. I zobaczymy, kto tu kogo potrzebuje bardziej. *Fuck off!* Już nie klikniemy „akceptuję warunki".

Zaczynamy od siebie. Ten manifest wydrukowałem w PDF-ie i przybiłem gwoździami do drzwi redakcji – jak niegdyś Luter swoje tezy do drzwi kościoła w Wittenberdze.

ROBERT JARUGA

*) Benn Steil, „Bitwa o Bretton Woods", Princeton University Press, 2013.
**) Dziś za tę samą uncję trzeba zapłacić około 4900–5000 dolarów (2026). Innymi słowy: wartość złota wyrażona w dolarze wzrosła ponad 140-krotnie, co dobrze pokazuje, jak bardzo osłabła siła nabywcza amerykańskiej waluty w systemie postgoldstandardowym.
***) Być może pisała już o tym u nas Anna Grodzka, ale nie zaszkodzi przypomnieć sprawy – i to nie raz. Ludziom rozumnym wydaje się często, że jednorazowe wypowiedzenie prawdy załatwia sprawę. To złudzenie. Prawdę trzeba powtarzać, aż wryje się w głowy opornych.

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 11.02.2026 r.

eprasa.pl 2917610fcc

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Tego wieczoru prezydent Karol Nawrocki postanowił nie polegać na współpracownikach i doradcach, tylko na partnerze godnym i mądrym: Sztucznej Inteligencji.

– Jakie mam poparcie? – zapytał, bo uwielbiał to wiedzieć.

– Czterdzieści siedem i siedem dziesiątych procent – słodkim głosem odpowiedziała Siri lub Alexa, kto ją tam wie.

Prezydent uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju: szeroko i nienaturalnie.

– Co powinienem zrobić, żeby mi wzrosło?

– Mogłoby się wydawać, że wystarczy być uczciwym i przyzwoitym, ale zasada ta nie ma zastosowania wobec ciebie – odparła Sztuczna. – W twoim wypadku sprawdza się raczej brak uczciwości i przyzwoitości. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że im więcej będzie w tobie oszusta, alfonsa i kibola, tym naród polski bardziej będzie cię poważał i uwielbiał.

– Fiu, fiu, fiu – zagwizdał Nawrocki. – Doceniam, ale jednak wolałbym być popularny z innych powodów niż te, które wymieniłaś. Tęsknię za tym, żeby naród polski oceniał mnie podobnie jak innych polityków.

– Jesteś pewien?

– Nie, ale chciałbym znać inne możliwości od tych, które zaprezentowałem do tej pory. – Prezydentowi coraz bardziej podobała się ta rozmowa. Prawdziwi Bogucki, Przydacz czy Cenckiewicz nie umywali się do Sztucznej.

– W obecnej sytuacji wzrost poparcia narodu polskiego zapewnia politykowi ostre krytykowanie prezydenta Donalda Trumpa – wyznała AI.

– Za co? – jęknął prezydent.

– Za wszystko. Za uprowadzenie prezydenta Wenezueli, za zamiar podboju Grenlandii, za udział w aferze Epsteina, za pogardę okazywaną poległym polskim żołnierzom, ale nade wszystko za bezczelne dopominanie się Pokojowej Nagrody Nobla.

– Niemożliwe! Przecież tak postępuje Czarzasty!

Sztuczna postanowiła nie komentować wybuchu prezydenta Polski.

– Słyszysz mnie, Siri, Alekso czy jak tam cię zwą?!

– Słyszę – spokojnie odpowiedziała AI. – Masz rację. Marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty zdobywa popularność dzięki zdecydowanej krytyce prezydenta Donalda Trumpa.

– Ale… – Nawrocki był przerażony.

– Wiem, co myślisz. – Głos Sztucznej stał się jeszcze słodszy. – Marszałek Czarzasty krytykuje również ciebie, co przynosi mu coraz większe poparcie narodu polskiego. Jeżeli też tak byś chciał, to nie pozostaje ci nic innego niż to, żebyś wreszcie zaczął potępiać samego siebie.

Na tę oczywistą sprzeczność cyfrową Nawrocki chciał odpowiedzieć zwyczajowym uśmiechem, lecz mu się nie udało. Obnażył więc tylko zęby i warknął jak za starych dobrych czasów, gdy napierdalał się z innymi chuliganami.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN wróciła z Kanarów i marznie tak samo jak **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA.** Dobrze jej tak.

Wołk-Łaniewska: – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin…

Senyszyn: – Trochę się spóźniłaś, były dwa tygodnie temu.

– Ale setnych.

– To z kolei za wcześnie.

– Twojej Gdyni. Czy jako rodowita Gdynianka czujesz się dumna?

– Miłość do Gdyni jest u mnie dziedziczna. Moja mama zakochała się w Gdyni jeszcze przed wojną i przyjechała natychmiast po wyzwoleniu miasta, w kwietniu 1945 r., żeby tu ułożyć sobie nowe życie. Modernistyczna, nowoczesna Gdynia ze słynnym „Wiatrem od morza" była przeciwieństwem jej Opola Lubelskiego. Stwarzała nowe perspektywy, a do tego była piękna: przestrzeń, zieleń, jasne elewacje domów, zaokrąglone balkony, okna jak bulaje statków – miasto wyglądało, jakby samo miało zaraz wypłynąć w morze. Kiedy byłam dzieckiem, na ulicach pełno było marynarzy wszystkich nacji, oko cieszyły komisy z zagranicznymi ciuchami, i to na długo przed Pewexami. Latem chodziłam na plażę, zimą zjeżdżałam na sankach z Kamiennej Góry. Teraz najlepiej odpoczywam w przydomowym ogrodzie. Ale czy to duma?

– A premier Tusk jest dumny…

– Tusk nie jest z Gdyni.

– Nawet to powiedział. Że jest z Gdańska, mieszka w Sopocie, ale z Gdyni jest dumny. Na tle kadłuba.

– Na tle kadłuba jest dumny?

– Też, albo głównie na tle kadłuba mówił. Że Gdynia była dumą całej Polski, a teraz Polska, dzięki temu gdyńskiemu kadłubowi i jeszcze dwóm takim samym, które też zostaną zbudowane w Stoczni Wojennej, będzie „dominować na Bałtyku".

– Powiedział „dominować na Bałtyku"?

– Tak, ale przeprosił: „Polska ma realne szanse, przepraszam za słowo, ale dominować na Bałtyku". I jeszcze dodał: „Taka jest nasza ambicja". Masz ambicję dominowania na Bałtyku?

– To nie moja bajka, bo dominacja łączy się z przemocą.

– Ja też nie mam ambicji dominowania gdziekolwiek, ale już na pewno nie na akwenie wodnym, z którym graniczy dziewięć państw, z czego dwa duże i silne: Niemcy i Rosja. Może jestem mało ambitna, ale uważam, że tacy nieduzi, co chcą dominować między dużymi, mogą dostać wpierdol. A tak w ogóle: to o co chodzi z tą „Stocznią Wojenną"? To kiedyś się nazywało Stocznia Marynarki Wojennej, ale potem PiS ją przemianowało na Stocznię Wojenną, niczym Trump swój Departament Obrony na Departament Wojny.

– Ściśle rzecz biorąc, on tak naprawdę nie przemianował Departamentu Obrony, bo do tego trzeba decyzji Kongresu, a jej nie było. To tylko taki pseudonim.

– No a u nas pełnometrażowa Stocznia Wojenna. Ochrzczona za Macierewicza i dumnie nosząca to miano za Kosiniaka. A propos wojny: masz plecak ewakuacyjny?

– Nie mam, bo wojny nie będzie.

– To tak jak ja. I nie tylko. W „Rzepie" było badanie, z którego wynika, że niespełna co czwarty Polak planuje sobie zmajstrować plecak ewakuacyjny zwany też ucieczkowym. Ponad 52 proc. mówi otwarcie, że nie. Reszta nie wie, albo nie dostała „Poradnika bezpieczeństwa"…

– To akurat wykręt, bo w mediach mówią o tym plecaku na okrągło.

– Też tak sądzę. To taka odpowiedź z gatunku „nie mam pracy domowej, bo chorowałem"… Muszę ci powiedzieć, że jestem w tym momencie dumna z Polaków, prawie jak premier z kadłuba: że nie dają sobie mieszać w głowach tym różnym ekspertom, co to wiekiem wyrośli z kamaszy, ale umysłem nie…

– Ostatnio red. Gozdyra miała taką trójkę: dwóch podpułkowników i jednego gromowca. Opowiadali, że to wcale nie chodzi o wojnę, tylko „mieszkamy na przykład w bloku, który może stanąć w płomieniach" albo „możemy mieć powódź"…



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Panowie oficerowie! Przestańcie chrzanić! 81 lat – od zakończenia II wojny światowej – żyjemy w domach, które mogą stanąć w płomieniach, w kraju, gdzie bywają powodzie, ale nikt nam nie kazał trzymać plecaka, który ma zawierać 35 przedmiotów, a przy tym być „lekki, wygodny i łatwy do przenoszenia", a także „regularnie aktualizowany" i każdy musi mieć swój, a najlepiej trzy, bo dodatkowo w pracy i w samochodzie. Nie masz wrażenia, że ten rząd jest coraz głupszy?

– Trudno powiedzieć, czy coraz, bo część była głupia od samego początku, a i idea, żeby w każdym ministerstwie byli przedstawiciele wszystkich koalicjantów, była poroniona. Teraz, przynajmniej w Ministerstwie Sprawiedliwości, idzie ku lepszemu. Mają pomysł, żeby bezdomne psy trafiły do zakładów karnych.

– Chcą wsadzać psy to więzień? I to ma być argument w obronie rządu?

– A żebyś wiedziała, bo to bardzo mądry pomysł. Otóż Ministerstwo Sprawiedliwości wymyśliło, żeby psy odebrane w ramach różnych interwencji przekazywać pod opiekę więźniów. Na razie, pilotażowo, w Olsztynie i Hajnówce. I po pierwsze – w więzieniu będzie psom lepiej niż w pseudoschroniskach, gdzie, jak się ostatnio okazało, przeżywały gehennę. A po drugie – skazani na tym skorzystają, bo kontakty z psami przyczyniają się do odbudowy empatii, wrażliwości i umiejętności społecznych. A do tego jeszcze mogą zdobyć nowe kwalifikacje zawodowe, bo będzie możliwość skończenia kursów na opiekunów psów.

– To ja też jestem za. Wyznam ci, że na los więźniów jestem bardziej wrażliwa niż na los psów, bo psami się wszyscy przejmują, a więźniowie od lat są chłopcami do bicia różnych prawackich polityków, którzy budują swoją pozycję na populizmie penalnym. Potencjalny osadzony Ziobro jest najlepszym przykładem.

– Ziobrze bym psa nie dała.

– Ja też nie. Zmieniając temat: walentynki. Uroczy zwyczaj czy komercyjne pranie mózgów?

– Uroczy, ale coraz bardziej skomercjalizowany i infantylny.

– Ja w zasadzie nie mam zdania, bo jakoś ostatnio mnie święto zakochanych nie dotyczy – ale za to zachwycił mnie jeden koleś z manosfery…

– Czyli grupy smutnych facetów, którym się nie układa z kobietami, więc w internecie za pieniądze udzielają innym facetom porad, jak sobie radzić z kobietami. Jednym słowem, uczył Marcin Marcina, a sam głupi jak świnia.

– Walentynki są dla nich bardzo ekscytującą okazją do wykazania się prawdziwą męskością. Najbardziej zachwycił mnie jeden, który ogłosił, że prawdziwi mężczyźni kupują swoim kobietom prezenty 14 lutego po pracy, a przed randką. Bo kupienie prezentu na miesiąc wcześniej to jest „najbardziej gejowska rzecz, jaką można zrobić"…

– Dlaczego gejowska? Ja kupuję prezenty, jak coś mi wpadnie w oko i potem mam jak znalazł.

– Prawdziwi mężczyźni tak nie postępują, okazuje się. A może powinni kupić żonom na walentynki po plecaku ewakuacyjnym? Taki plecak prawdziwy mężczyzna może przygotować z wyprzedzeniem.

– Kiedyś się mówiło, że na wypadek wojny trzeba mieć trzy złote świnki, czyli carskie pięciorublówki. Taki plecak ze świnkami to byłby nawet niezły prezent na walentynki.

– Jak ktoś chciałby mi dać, to zapraszam. Świnki zostawię, opakowanie wyrzucę.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 2917610fcc